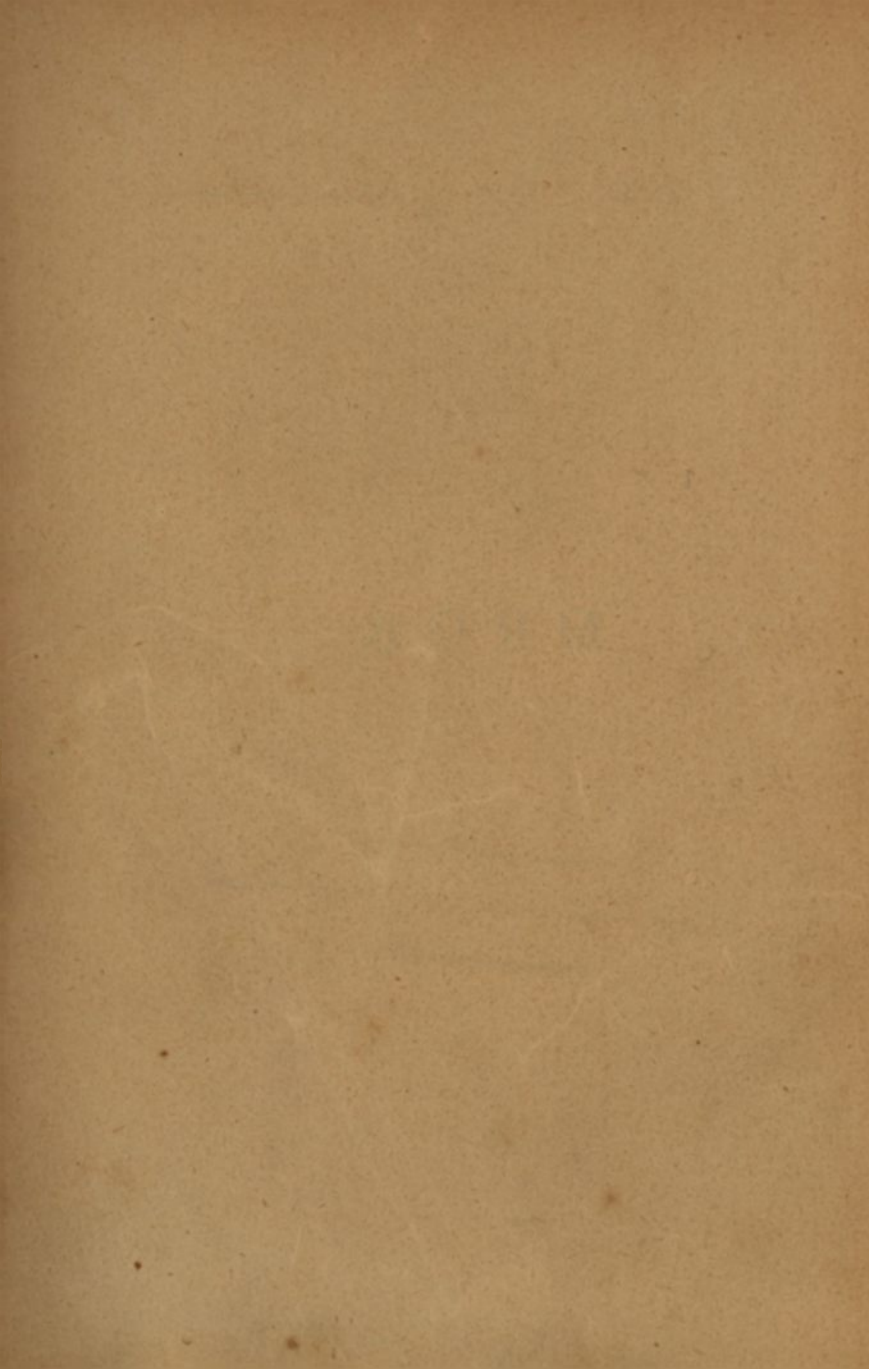


№ 913

M R O K

~~BIBLIOTEKA~~
~~URZĘDNI I WZELA CIA W KRAKOWIE~~
~~SEKCJA IV.~~



LEONIDAS ANDREJEW

M R O K

Tow. Przejrzyst. nauk. w Przemysłu.	
3468	D
VI-5-42	



WARSZAWA 1908
NAKLADEM JANA FISZERA
NOWY-ŚWIAT 9

5 pl.

A-18069

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



1000173316

Literat. 136

K. 1160/56/810

I.

Zazwyczaj wszystkim przedsięwzięciom jego towarzyszyło powodzenie; w ciągu ostatnich trzech dni jednak okoliczności składały się dlań wyjątkowo niepomyślnie, a nawet wrogo. Jako człowiek, dla którego całe niedługie dotychczasowe życie podobnem było do olbrzymiej, niebezpiecznej i straszliwie hazardowej gry — rozumiał wszystkie te nagłe zmiany losu i odpowiednio do tego umiał liczyć się z niemi; stawką w tej grze było samo życie — zarówno własne, jak cudze — i to jedno już wyrobiło w nim rozwagę, szybkość orientowania się i chłodną, nieugiętą trzeźwość.

Trzeba było wykręcać się i obecnie. Jakiś przypadek, jeden z tych drobnych przypadków, jakich nigdy niepodobna przewidzieć, naprowadził na jego ślady policję; i oto teraz od dwóch już dni za nim, znanym terrorystą, rzucającym bomby, uganiali się bez przerwy szpiedzy, usiłując zapędzić go w zwarty, zamknięty krąg. Jedno za drugim odcięto przed nim wszystkie te konspiracyjne mieszkania, w których mógł

znaleźć schronienie; pozostawały dlań wolnemi jeszcze niektóre ulice, skwery i restauracje, lecz okrutne zmęczenie, wywołane dwudniową bezsennością i krańcowem napięciem uwagi, stwarzało nowe niebezpieczeństwo; mógł bądź w drodze, bądź też na którymś ze skwerów zasnąć i następnie wskutek takiego głupstwa znalazłby się, jako pijany, w cyrkule. Było to we wtorek. W czwartek zaś, a więc po upływie dnia, miał dokonać bardzo poważnego zamachu terrorystycznego. Od dłuższego już czasu cała ich niewielka organizacja zajęta była przygotowaniem do tego zamachu, a „honor“ rzucenia tej ostatniej, decydującej bomby przypadł w udziale jemu właśnie.

Musiał więc za jakąkolwiek cenę przetrzymać kryzys.

I oto wówczas, w wieczór październikowy, stojąc na rogu dwóch ruchliwych ulic, zdecydował się pojechać do domu publicznego — na przedmieściu.

Na krok ten, niezupełnie zresztą pewny, zdecydowałby się już wcześniej, gdyby nie pewna, komplikująca sprawę, okoliczność: mimo dwudziestu sześciu lat, był on niewinny, kobiet, jako kobiet, nie znał zupełnie, a w domach publicznych nie bywał nigdy. Niegdyś, w swoim czasie stoczył on ciężką i zaciętą walkę ze swą szalejącą chucią, lecz stopniowo powstrzymanie się przeszło w nałóg; wobec kobiet zachowywał się najzupełniej obojętnie. I oto teraz, zmuszony znaleźć się tak blisko kobiety, traktującej miłość

jako rzemiosło, zmuszony nawet może oglądać ją nagą — lękał się, iż popelni cały szereg charakterystycznych i przykrych niewłaściwości. W ostateczności, jeżeli okaże się to niezbędnem, postanowił mieć stosunek z prostytutką, obecnie bowiem, gdy chuć nie szalała już w nim oddawna i gdy miał dokonać tak wielkiego i decydującego kroku — dziewiczość i walka o nią ztraciły już dlań swą wartość. W każdym jednak razie było to dlań niemiłym, podobnie jak niemiłym bywa czasami jakiś obrzydliwy drobiazg, którego na drodze swej ominąć niepodobna. Raz, gdy wykonywano jeden z większych zamachów terrorystycznych, w którym on uczestniczył jako pomocnik z zapasową bombą, ujrzał zabitego konia z oderwanym zadem i wypadłemi wnętrznościami; i ten brudny, obrzydliwy, niepotrzebny i równocześnie niezbędny szczegół wywarł na nim wrażenie poniekąd przykrzejsze, aniżeli śmierć towarzysza, który zginął przy rzucaniu bomby. I o ile spokojnie, bez trwogi, a nawet z radością oczekiwał czwartku, kiedy prawdopodobnie wypadnie mu umrzeć — o tyle noc, spędzona z prostytutką, kobietą traktującą miłość jako rzemiosło, wydawała mu się bezsensownem głupstwem, upostaciowaniem jakiegoś zgiełkliwego i nikłego, brudnego chaosu.

Lecz innego sposobu wyjścia nie widział, gdyż zataczał się skutek zmęczenia.

II.

Gdy około godziny 10-ej przybył na miejsce, wielka biała sala ze złożonemi krzesłami i zwierciadłami, aczkolwiek przedwcześnie, była już przygotowaną na przyjęcie gości, a wszystkie światła płonęły. Przed otwartym fortepjanem siedział grajek, bardzo przyzwoity młody człowiek, w czarnym tużurku — dom ten należał do droższych — pałac papierosa, delikatnie otrząsał popiół, tak, aby nie zwałać swego ubrania, i przerzucał nuty; w kąciку sali, w pobliżu nawpół oświetlonego pokoju, siedziały na krzesłach trzy dziewczyny, rozmawiając o czemś cicho.

Gdy wszedł w towarzystwie gospodyni, dwie z pośród siedzących powstały, trzecia zaś pozostała na swem miejscu; te, które powstały, były ogromnie wydekoltowane, podczas gdy siedząca ubraną była w suknię czarną, skromnie zapiętą pod szyją. Pierwsze dwie spoglądały nań zmęczonym, obojętnym wzrokiem, trzecia dziewczyna zaś odwróciła się od niego; profil jej twarzy był równy i spokojny, podobnie jak u każdej przyzwoitej dziewczyny, kiedy się zamyśli. Dziewczyna ta, jak się zdaje, opowiadała coś swym koleżankom, w obecnej zaś chwili myślała w dalszym ciągu o tem, co im mówiła, kończąc w milczeniu swe opowiadanie.

Wybrał ją dlatego właśnie, że podobało mu się jej milczące zadumanie i obojętność, z jaką spoglądała na niego — wreszcie pociągnął go

ku sobie jej wygląd, nadający jej pozór przyzwoitej kobiety. Nie będąc nigdy w takim miejscu, nie wiedział, iż w każdym solidniejszym domu publicznym spotyka się zazwyczaj jedną lub dwie kobiety tej kategorii; ubierają się one czarno, jak mniszki lub młode wdowy, ich twarze zaś są blade, bez rumieńców, a nawet maluje się na nich wyraz powagi; zadanie ich polega na tem, aby dawać ułudę przyzwoitości tym, którzy tego poszukują. Kiedy jednak kobiety te udają się do sypialni w towarzystwie mężczyzn i gdy się tam upijają, stają się takie, jak wszystkie inne, a niekiedy nawet i gorsze: częstokroć awanturują się i tłuką naczynia, czasami tańczą nago i nagie wybiegają na salę, niekiedy zaś biją zbyt natarczywych mężczyzn. Są to te właśnie kobiety, w których zakochują się pijani studenci, nakłaniając je, aby rozpoczęły nowe, uczciwe życie.

Ale on o tem wszystkim nie wiedział. Kiedy więc podniosła się leniwie ze swego miejsca i spojrzała nań niechętnie swemi podmalowanemi oczami i gdy na jej matowo-bladej twarzy ukazał się jakiś szczególnie ostry wyraz — pomyślał znowu: „jaka ona jednakże przyzwoita!“ I wnet doznał wrażenia ulgi. Nie wychodząc ze swej roli ciągłego maskowania się, które rozdawało jego życie, czyniąc je teatralnem, wykręcił się filuternie na pięcie, przytknął palcami i przemówił głosem doświadczonego, pewnego siebie rozpustnika:

— Jakże więc, moja dzierlatko? Cóż pój-

dziemy do ciebie? A gdzież jest twoje gniazdko?

— Tak zaraz? — zdziwiła się dziewczyna, podnosząc nań oczy.

On roześmiał się wesoło, ukazując w uśmiechu swym rząd ściśle osadzonych, mocnych zębów i zaczerwieniony odpowiedział:

— Rozumie się. Po cóż tracić mamy czas.

— Tu ma być muzyka. Będziemy tańczyć.

— Cóż to są tańce, moja ty ślicznotko? Zwyczajne kręcenie się w kółko, chwytywanie samego siebie za ogon. Co zaś do muzyki, to przypuszczam, że i stamtąd będziemy ją także słyszeli.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Troszkę słyhać.

Zaczynał się jej podobać; jego starannie wygolona twarz była krągła, o wystających kościach policzkowych; podbródek i zewnętrzna górna warga jego miały odcień niebieskawy, jak zwykle u golących się często brunetów. Miał piękne ciemne oczy, aczkolwiek w spojrzeniu ich była jakaś dziwna nieruchliwość i aczkolwiek poruszały się one zwolna i ociężale, jak gdyby miały wówczas do przebycia bardzo wielką przestrzeń. Mimo swego wygolienia jednak i pewności siebie, nie wyglądał na aktora, lecz podobnym był raczej do zruszczonego cudzoziemca, a najprędzej do angiлика.

— Czyś ty niemiec? — zapytała dziewczyna.

— Troszeczkę, chociaż prędzej anglik. A czy lubisz anglików?

— Ale jak ty dobrze mówisz po rosyjsku. Zupełnie poznać nie można.

Przypomniał mu się jego paszport angielski i ten łamany język, jakim posilkował się ciągle w ostatnich czasach; przyszło mu na myśl, że oto teraz zapomniał maskować się, jak należy, i zaczerwienił się zlekka. Cokolwiek zasępiiony, ujął dziewczynę pod ramię i uprowadził szybko za sobą.

— Rosjanin jestem, rosjanin. A teraz pokaż mi drogę. Czy to tutaj?

W wielkiem lustrze odbiły się wyraziście ich postacie: ona blada, czarno ubrana, i z oddalenia bardzo piękna — on wysoki, barczysty, także czarno ubrany i również blady; szczególnie blademi wydawały się w padającym z góry i odbijającym się w lustrze świetle elektrycznem jego otwarte czoło i wystające kości policzkowe; zamiast oczów zarówno jego, jak i dziewczyny, widniały czarne, cokolwiek tajemnicze, lecz piękne głębie. I ta czarna, surowa para, jaką ujrzał wśród tych białych ścian w wielkiej złoconej ramie lustrzanej, wydała mu się tak niezwykłą, że zatrzymał się na chwilę zdumiony i pomyślał: zupełnie jak para narzeczonych. Zresztą wskutek bezsenności, a prawdopodobnie i ze zmęczenia, umysł jego się plątał i nasuwały mu się myśli nieoczekiwane i bezsensowne; to też, gdy w następnej już chwili oczy jego ujrzały w lustrze ponownie czarną, poważną i żalobną parę, pomyślał: zupełnie jak na pogrzebie. Zarówno

pierwsze, jak drugie było dlań również niemiłym.

Widocznie nastrój jego udzielił się i dziewczynie; i ona również spoglądała, milcząc, to na niego, to na siebie—na siebie i na niego; zmrugała oczy, lecz lustro nie odzwierciadliło tego lekkiego ruchu i w dalszym ciągu odbijało w sobie uporczywie czarną, zastygłą parę.

I niewiadomo, czy wydało się to dziewczynie pięknem, czy też przypomniało się jej coś smutnego z własnego życia — lecz uśmiechnęła się łagodnie i zlekka uściśniła jego silnie zacisniętą dłoń.

— Jaka z nas parka! — powiedziała w zamyśleniu.

Nie odpowiedział jej i szybko poszedł naprzód, pociągając za sobą dziewczynę, która szła za nim, stukając o podłogę swymi wysokimi, fracuskiemi obcasami. Szli przez korytarz, w którym znajdowały się ciemne, małe pokoiki z otwartymi drzwiami; weszli do jednego z tych pokoiów, na drzwiach którego znajdował się skreślony niewprawnem pismem napis: „Luba“.

— Otóż uważasz, Lubo,—odezwał się, oglądając się poza siebie, zwyczajem swym zacieraając obie ręce, jak gdyby mył je w zimnej wodzie — trzaby nam wódki i jeszcze czegoś, możeby tak owoców.

— U nas owoce są drogie.

— To nic nie szkodzi. A czy pani pije wódkę?

Przez zapomnienie powiedział „pani“ i, aczkolwiek zauważył to, nie chciał się jednak poprawiać; od chwili, gdy uścisnęła rękę jego, nie chciał do niej mówić ty, nie chciał żartować z nią i maskować się wobec niej. Uczucie to udzieliło się w pewnym stopniu również i jej: spojrzała nań uważnie i, zaczekawszy chwilę, odpowiedziała głosem niepewnym:

— Tak jest, piję. Niech pan zaczeka, ja zaraz. Z owoców każę przysłać tylko dwie gruszki i dwa jabłka. Czy wystarczy panu?

Mówiła doń również „panie“, a w tonie głosu jej, gdy wymawiała to słowo, dźwięczała też sama niepewność, jakieś wahanie i pytanie. On jednak nie zwrócił na to uwagi i, gdy pozostał sam, począł uważnie i wszechstronnie oglądać pokój. Spróbował zamknąć drzwi i przekonał się, że zamykają się dobrze na klucz i na haczyk; zbliżył się do okna i otworzył je naościę — znajdowało się ono na trzecim piętrze i wychodziło na podwórze. Zmarszczył brwi i pokiwał głową. Później uczynił doświadczenie ze światłem: w pokoiku znajdowały się dwie lampy; gdy górna gasła, wówczas zapalała się nad łóżkiem druga, z czerwonym kloszem — jak w przyzwoitych hotelach.

Ale łóżko!...

Podniósł wysoko ramiona i wyszczerzył zęby, udając śmiech, nie był to jednak śmiech, lecz jedynie gra twarzy, właściwa ludziom skrytym i zamkniętym w sobie, kiedy nareszcie pozostają samotni.

Ah to łóżko!

Obszedł je kilkakrotnie, dotknął lekko wadowanej nawpół odrzuconej kołdry i, uradowany nadzieją wypoczynku, figlarnie, jakgdyby był dzieckiem, wykrzywił głowę, wydał wargi i wytrzeszczył oczy, wyrażając przez to najwyższe zdumienie. Ale wnet stał się poważnym, usiadł i począł niecierpliwie wyczekiwać powrotu Luby. Usiłował myśleć o czwartku i o tem, że już w tej chwili znajduje się nareszcie w domu publicznym — ale, myśli, nad któremi nie mógł panować, plątały się, wypierając jedna drugą. To podrażniony sen upominał się o swe prawa; tak łagodny tam na ulicy, tutaj nie głaśkał go po twarzy swą jedwabistą dłonią, lecz skręcał nogi, ręce, wyprężał całe ciało, jakgdyby chciał je potargać.

Nagle począł ziewać, aż do łez. Wydobył brauning, trzy magazyny zapasowe z nabojami i ze złością dmuchnął w lufę, jak w otwór klucza — wszystko było w porządku, tylko jemu chciało się spać nieźnośnie. Kiedy nareszcie przyniesiono wódkę i owoce i gdy powróciła Luba, zbliżył się do drzwi, zamknął je początkowo tylko na haczyk i odezwał się:

— Otóż niech pani pije. Proszę.

— A pan — zapytała zdumiona dziewczyna i szybkim ukośnem spojrzeniem objęła jego postać.

— Ja później. Widzi pani, ja przez dwie noce hulałem, nie śpiąc zupełnie, i teraz — roz-

tworzył szeroko usta, ziewając w sposób przerażający.

— Więc?

— To krótko potrwa. Małą godzinę. A pani niechaj pije, proszę, niech się pani nie krępuje. Niech pani je i owoce. Dlaczego pani każała przynieść tak mało?

— A czy mogę pójść do sali. Tam niedługo zacnie grać muzyka.

Było to niezręczne. Mogą zacząć rozmowę o dziwnym gościu, który położył się spać, i poczną czynić domysły — tak, byłoby to niezręcznością. Powstrzymując ziewanie, które otwierało już usta jego, przemówił łagodnie i poważnie.

— Nie, Lubo, proszę niech pani tu zostanie. Widzi pani, ja ogromnie nie lubię spać w pokoju samotny. Rozumie się, że nie jest to nic innego jak kaprys, ale niech mi pani wybaczy.

— Dlaczegożby nie... Skoro pan zapłacił pieniądze...

— Tak, to prawda — i zaczerwienił się poraz trzeci. — Oczywiście. Ale nie o to chodzi. Jeżeli pani chce tego... Pani może się także położyć. Zostawię dla pani miejsce. Tylko proszę, niech pani położy się bliżej ściany. Czy pani to nie przeszkadza?

— Zupełnie, tylko mi się nie chce spać. Posiedzę sobie.

— Niech pani coś poczyta.

— Tutaj książek niema.

— Może pani chce gazetę dzisiejszą. Mam

ją nawet przy sobie, proszę. Są w niej dosyć ciekawe rzeczy.

— Nie, nie chcę.

— Jak pani uważa, jak będzie pani wygodniej. Ja zaś, jeżeli pani pozwoli... — zbliżył się do drzwi, przekręcił dwa razy klucz i schował go do kieszeni. Czyniąc to, nie zauważył dziwnego wzroku, jakim obrzuciła go dziewczyna.

Wogóle cała ta przyzwoita i delikatna rozmowa, tak dziwnie brzmiąca w tym domu, w którym powietrze przepajały wyziewy alkoholiczne i przekleństwa — wydawała mu się zarówno prostą i naturalną, jak i najzupełniej przekonywającą. Z tą samą uprzejmością, jak gdyby znajdował się na łódce w towarzystwie panien, zwrócił się do niej, zdejmując nieśmiało surdut:

— Czy pani pozwoli mi zdjąć surdut?

Dziewczyna zasępiła się.

— Proszę. Przecież pan jest...—urwała nagle, nie kończąc zaczętego zdania.

— I kamizelkę też? Bardzo ciasna.

Nie odpowiedziała nic, nieznacznie wzruszywszy ramionami.

— Ma pani tu pugilares z pieniędzmi. Niech pani będzie tak dobra i schowa to u siebie.

— Pan by lepiej oddał pieniądze do kantoru. U nas wszyscy tak robią.

— A pocóż to? — spojrzawszy jednak na dziewczynę, z zawstydzeniem opuścił oczy. — Ah tak, tak. Eh, to przecież głupstwo.

— A czy pan wie, ile tu jest pieniędzy?

Bo to zdarza się, że niektórzy nie wiedzą i dopiero potem...

— Wiem, wiem... Że też pani coś podobnego przypuszcza.

Położył się, pozostawiając dla niej uprzejmie miejsce obok siebie, bliżej ściany. I wnet zachwycony sen uśmiechnął się doń swobodnie i jedwabistym swym policzkiem przyłgnał delikatnie do jego policzka, połaskotał go rozkosznie po kolanach i zamilkł błogo, położywszy na piersiach jego swą miękką, puszystą głowę.

Zaśmiał się radośnie.

— Czego pan się śmieje? — zapytała z odcieniem niezadowolenia dziewczyna.

— Tak sobie. Jest mi bardzo dobrze. Jakie tu u was miękkie poduszki. Teraz możemy trochę pogawędzić. Dlaczego pani jednak nie pije?

— A ja, czy mogę zdjąć stanik? Pozwala pan? Zapewne długo tu pozostanę — i w głosie jej zadźwięczała nuta utajonego śmiechu. Gdy jednak wzrok jej spotkał się z jego ufnymi oczami, w których malowała się odpowiedź — „rozumie się, niech pani będzie łaskawą!“ z poważną prostotą dodała:

— Mam bardzo ciasny gorset, który później pozostawia mi pręgi na ciele.

— Rozumie się, rozumie. Proszę bardzo. Odwrócił się nieco i poczerwieniał znowu. I czy to dla tego, że bezsenność mąciła mu myśli, czy też dla tego, że mimo 26 lat był istotnie naiwnym — to wypowiedziane przezeń „można“

wydało mu się „czemś“ brzmiałem najzupełniej naturalnie w domu, w którym wszystko było wolno i w którym nikt nigdy nie zapytywał o pozwolenie.

W pokoju słychać było szelest jedwabiu i chrzęst rozpinanych guzików metalowych. Po chwili rozległo się pytanie:

— Czy pan nie literat?

— Literat? Nie, nie jestem literatem. A czy pani nie lubi literatów?

— Nie, nie lubię.

— Dlaczego, przecież to ludzie — ziewnął rozkosznie i przeciągle — dość sympatyczni.

— A jak się pan nazywa?

Milczał, aż wreszcie odpowiedział sennym głosem:

— Niech mi pani mówi... Niech będzie, Piotrze. Tak Piotr.

Nastąpiło nowe pytanie.

— A pan kto taki? Kim pan jest?

Dziewczyna pytała cicho, lecz stanowczo, a głos jej wywierał takie wrażenie, jakgdyby przysunęła się nagle do leżącego mężczyzny.

Ale on już tego nie słyszał, gdyż zasypiał. Na jedno mgnienie odżyła gasnąca myśl i zarysowała przed nim obraz, odzwierciadlający plastycznie całe ubiegłe dwa dni i dwie noce wściekłego pościgu; czas i przestrzeń stopiły się w obrazie tym w jedną bryłę cieni, mroków i światła, ludzi, snujących się po nieskończone długich ulicach i kół, kręcących się nieustannie. I nagle wszystko to ucichło, przyblakło i zni-

kło — a wśród głębokiej ciszy w łagodnem półświecie ujrzał jedną z sal galerji obrazów, w której wczoraj spędził dwie godziny, ukryty przed szpiegami. I wydało mu się, że oto siedzi na dziwnie miękkiej aksamitnej kanapie i nieruchomo spogląda na jakiś wielki, czarny obraz: od czarnego, i splekanego już, starego tego obrazu idzie ku niemu jakiś dziwny spokój; wzrok jego wypoczywa, i jest mu w tej chwili tak dobrze i tak pogodnie płyną jego myśli, że nawpół śpiący poczyna walczyć ze snem — uląkł się go, jak czegoś tajemniczego, co mu zamąci ten spokój.

Ale oto w sali zagrała muzyka, rozbrzmiały krótkie, urywane dźwięki i nagle pomyślał: „teraz mogę już spać“; wnet też ogarnął go mocny sen.

Tryumfujący, miły sen objął go swem ciepłem tchnieniem i w głębokiem milczeniu z utajonym oddechem — popłynęli wraz w przezroczą, tajemniczą dal.

W ten sposób, leżąc nawznak, w tej samej pozycji, w jakiej ułożył się zawczasu, spędził we śnie dwie godziny; prawą rękę zagłębił w kieszeni, w której znajdował się klucz i rewolwer. Dziewczyna tymczasem siedziała naprzeciw z obnażonemi rękami i odsłoniętą szyją, paląc papierosy, pijąc powoli koniak i nieruchomo wpatrując się w niego; od czasu do czasu, chcąc lepiej widzieć, wyciągała przed siebie swą cienką, gibką szyję, a równocześnie z tym ruchem w kącikach warg jej ukazywały się dwie głębo-

kie bruzdy. Kładąc się spać, nie zgasił górnej lampy i w jaskrawem jej świetle nie wydawał się jej ani młodym, ani starym, ani cudzym, ani blizkim, lecz jakąś zagadkową postacią; zagadkowemi były jego policzki, zagadkowym był jego nos, zagięty jak u ptaka, zagadkowym wreszcie wydawał się jego mocny, równy oddech.

Gęste czarne włosy śpiącego były ostrzyżone przy skórze, po żołniersku, na lewej skroni w pobliżu oka miał niewielką szramę, pozostałą po jakimś dawnem skaleczeniu; na piersiach nie nosił krzyżyka.

Muzyka na sali to zamierała, to wybuchała znów dźwiękami skrzypiec i fortepjanu, śpiewem i tupotem tańczących nóg, a ona tymczasem siedziała wciąż po dawnemu, paląc papierosy i przyglądając się śpiącemu. Wyciągnąwszy przed siebie szyję, przyjrzała się jego opartej o piersi lewej ręce — miała ona bardzo szeroką dłoń z wielkimi, spokojnemi, palcami; oparta na piersiach sprawiała wrażenie przytłaczającego je mocno ciężaru.

Ostrożnym ruchem uniosła rękę jego, kładąc ją wzdłuż ciała na łóżku. Następnie szybko i z hałasem powstała ze swego miejsca i zgaszyła górną lampę, zapalając natomiast dolną, osłoniętą czerwonym kloszem. Lecz on nie poruszył się i tym razem, a zaróżowiona twarz jego pozostała w dalszym ciągu zagadkową, przerażającą swym spokojem i nieruchomością. Dziewczyna odwróciła się od niego, delikatnie zaróżowionemi rękami objęła kolana i, zadartszy głowę

do góry, utkwiała nieruchomo w suficie czarne źrenice swych oczu. W ustach jej zastygł niedopalony, zgasty papieros.

III.

Stało się coś niespodziewanego i przerażającego. Nawpół rozespany jeszcze na pierwszy dźwięk obcego, zachrypłego głosu zrozumiał, że podczas snu jego musiał się zdarzyć jakiś doniosły i ważny wypadek; zrozumiał to, dzięki swej przeczulonej intuicji ostrzegawczej, która zarówno dla niego jak i dla towarzyszków jego stała się nowym odrębnym zmysłem. Opuścił szybko nogi i siadł na łóżku; podczas gdy oczy przenikliwie badały różową mgłę, w rękę swem zaciskał mocno rewolwer. I kiedy ujrzał ją siedzącą w tej samej pozycji co przedtem — gdy ujrzał jej przejrzyste zaróżowione ramiona i piersi jej nieruchomo utkwione zagadkowe oczy, w pierwszej chwili nasunęła mu się myśl: wydała! Przyjrzał się jej uważniej i odetchnął z uczuciem ulgi: dotąd jeszcze nie wydała, lecz wyda.

Jest źle!

Westchnął raz jeszcze i zapytał łagodnie:

— Co takiego?

Ale ona milczała. Patrzyła nań z tryumfalnym i złym uśmiechem—jakby uważała go już za swojego i jakby chciała nasycić się swoją władzą.

— Coś ty mówiła przed chwilą—spytał zachmurzony.

— Co mówiłam? Powiedziałam, żebyś wstał. Dostyc już. Wyspałeś się i dostyc. Trzeba mieć ambicję. Tu mój kochany nie dom noclegowy.

— Zapal lampę.

— Nie zapalę.

Zapalił sam i ujrzał w białym świetle jej bezdennie złe, podmalowane czarne oczy, usta zaciśnięte w nienawiści i pogardzie i obnażone ramiona. I kiedy patrzył na tę obcą, zdecydowaną na coś stanowczego prostytutkę, wydała mu się wstrętą.

— Co tobie? Pijana jesteś? — zapytał zaniepokojony, wyciągając rękę po swój wysoki nakrochmalony kołnierzyk. Ale ona wyprzedziła nagle jego ruch, chwyciła kołnierzyk ze stołu i, nie patrząc nań, rzuciła go gdzieś do kąta za komodę.

— Nie dam!

— A to co?—zawołał, ściskając mocno jej rękę, jakby żelaznymi kleszczami.

— Puszczaj, to boli.

Ścisnął ją słabiej, zatrzymując jednak nadal rękę jej w swej dłoni.

— Miej ty się na baczości!

— A cóż mi zrobisz kochaneczku? Chcesz mnie może zastrzelić? A co ty masz w kieszeni—rewolwer? A cóż zastrzel mnie, zastrzel, zobaczę jak będziesz to robił. Jakże to, przyszedł do kobiety, a sam spać się położył. Pij ty po-

wiada, a ja się prześpię. Myśli, że jak się ostrzygł i ogolił, to go już nikt nie pozna. A do policji chcesz ty pójść? Chcesz do policji, kochaneczku? Zaśmiała się głośno i wesoło, a on spostrzegł z przerażeniem, że na twarzy jej maluje się dzika i wściekła radość. Miał wrażenie, że dziewczyna oszalała. I gdy pomyślał, że wszystko przepadło tak marnie, że trzeba będzie popelnić to głupie, okrutne, a tak niepotrzebne zabójstwo i mimo to prawdopodobnie zginąć samemu, zrobiło mu się jeszcze straszniej.

Bardzo blady, ale pozornie spokojny i zdecydowany, obserwując każdy jej ruch i słowo, przyglądał się jej bacznie, zastanawiając się, co czynić.

— A co? Czego milczysz? Język ci ze strachu zastygł?

Ścisnąć tę gibką szyję zmii i zdławić; oczywiście, nawet nie zdoła krzyknąć. I nawet nie ma czego żałować; przytrzymuje ją ręką na miejscu, a ona wykręca głowę, zupełnie jak zmija. Niema czego żałować, ale co będzie tam na dole?

— A czy ty wiesz, Lubo, kim ja jestem?

— Wiem. Ty jesteś — akcentując mocno i jakby z tryumfem powiedziała — ty jesteś rewolucjonista. Ot, kim ty jesteś.

— A ty skąd to wiesz?

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Przecież nie mieszkamy w lesie.

— Przypuśćmy tedy...

— Tak, tak, przypuśćmy. Nie ściskaj mi

ręki. Wszyscy wy umiecie pokazywać swą siłę wobec kobiet. Puść.

Uwolnił jej rękę z uścisku i, usiadłszy, począł przyglądać się jej w milczeniu. Jego kości policzkowe poruszały się lekko i przesuwiał się po nich jakiś cień, ale twarz zachowywała wyraz spokojny, poważny i cokolwiek smutny. I w tem smutnem swem zamyśleniu wydał się jej znów kimś zagadkowym i zapewne bardzo dobrym.

— Cóżes się tak zapatrzył—krzyknęła ordynarnie i, nieoczekiwanie, dodała nagle cyniczny wymysł.

Nie odwracając oczów, podniósł ze zdziwieniem brwi i odezwał się spokojnie, głosem cokolwiek zdławionym i obcym, jakby przemawiał z jakiegoś wielkiego oddalenia.

— Posłuchaj mnie, Lubo. Naturalnie możesz mnie wydać i nietylko ty jedna możesz to zrobić, lecz każdy, kto znajduje się w tym domu, niemal każdy człowiek na ulicy. Niechaj tylko zawoła: trzymaj, łapaj, a wnet przybiegną dziesiątki i setki ludzi, którzy będą się starać, aby mnie złapać, a nawet zabić. I za co? Jedyńie za to, że nie zrobiłem nikomu nic złego, lecz całe moje życie poświęciłem ludziom. Czy ty rozumiesz, co to znaczy: poświęciłem całe moje życie?

— Nie, nie rozumiem, odpowiedziała dziewczyna, słuchając dalej uważnie.

— I jedni zrobią to przez głupotę, inni zaś przez złość. Bo widzisz, Lubo, zły człowiek

ni : znosi dobrego, tak jest, źli ludzie nie kochają dobrych...

— A za cóż ich kochać?

— Nie myśl, Lubo, że ja umyślnie wychwalam sam siebie. Ale powiedz sama: czem jest moje życie, całe moje życie?

Od lat czternastu męczę się w więzieniach. Z domu mnie wygnali — rodzice sami mnie wygnali. Raz o mało mnie nie zastrzelili, cudem ocalałem. I pomyśl, że tak upłynęło mi całe życie; całe życie, w którym wszystko poświęciłem innym, a sobie nic. Nic.

— A czemuż ty jesteś taki dobry? — spytała ironicznie.

— Nie wiem — odpowiedział z powagą.— Widocznie już się urodziłem taki.

— A ja urodziłam się zła. A przecież przyszłam na świat tak samo, jak i ty—głową! Także gadanie.

Zdawało się, jakby jej nie słyszał. Wpatrzony w głąb swej duszy, w swą przeszłość, która tak niespodzianie odżyła w słowach i wydała mu się samemu wprost bohaterską — ciągnął dalej:

— Pomyśl tylko: mam już dwadzieścia sześć lat, włosy mi siwieją na skroniach, a do tej pory — zawahał się przez chwilę, poczem dobitnie, a nawet z dumą dokończył: — do tej pory nie znam kobiet. Rozumiesz mnie, nie znam ich zupełnie. Ty jesteś pierwszą kobietą, którą oglądam w ten sposób. I muszę przyznać, że gdy

patrzę na twoje obnażone ręce, wstydzę się cokolwiek.

Szalone dźwięki muzyki rozległy się ponownie, a od tupotania nóg na sali zachwiała się zlekka podłoga. Ktoś pijany wrzeszczał szalenie, jakby pędził stado rozwścieczonych koni. W pokoiku ich tymczasem panowała cisza; w różowej mgle unosił się lekko dym tytoniowy, rozplywając się w przestrzeni.

— Otóż widzisz teraz sama, Lubo, jakiem było całe moje życie! Zamyślony spuścił oczy ku ziemi i zagłębił się we wspomnieniach o swem tak czystym i męczeńsko-pięknem życiu.

Dziewczyna milczała. Po chwili wstała i okryła chustką ramiona, gdy jednak oczy jej spotkały się z jego zdziwionym i dziękczynnym wzrokiem, nagłym ruchem zerwała z siebie chustkę, odchylając w ten sposób koszulę, iż odsłoniła całą zaróżowioną pierś. On odsunął się i wzruszył zlekka ramionami.

— Pij — rzekła dziewczyna. — Dostyc z ceremonjowaniem się.

— Ja nie piję wcale.

— Nie pijesz? A ja uważasz piję! — Zaśmiała się złośliwie.

— Jeżeli masz papierosy, zapalę.

— Mam, ale nieszczególne.

— Wszystko jedno.

Biorąc papierosa, zauważył z zadowoleniem, że dziewczyna pociągnęła swą koszulę — napełniło go to niejaka otucha, że wszystko da się

jakoś ułożyć. Palił kiepsko, nie zaciągając się dymem, papierosa zaś trzymał po kobiecemu, między dwoma wyciągniętymi sztywnie palcami.

— Ależ ty nawet palić nie umiesz! — zawołała gniewnie, wyrywając mu brutalnie papierosa. — Rzuć go na ziemię.

— Znowu się złościysz?

— Tak, złośćczę się.

— I dlaczego, Lubo? Pomyśl tylko: przecież ja przez dwie noce nie spałem i jak wilk uganiałem się po mieście. Co ci z tego przyjdzie, jeżeli mnie zdradzisz i gdy mnie zabiorą stąd. Toć ja żywy nie oddam im się w ręce.

Zamilkł.

— Strzelać zaczniesz?

— Tak. Będę strzelał.

Muzyka zamilkła nagle, lecz oszalały od wódki człowiek wrzeszczał dalej na sali; widocznie, ktoś przez żart czy też naprawdę usiłował zatkać mu usta ręką, lecz po przez palce pijanego dobywały się jeszcze dziksze i straszliwsze wrzaski. W pokoju unosiła się woń perfum i taniego pachnącego mydła; była to woń zgęszczona, wilgotna i rozpustna; na jednej ze ścian wisały jakieś zmięte staniki i suknie. Cały ten obraz wydał mu się tak wstrętnym, iż na samą myśl o tem, że przecież jest to także życie i że są ludzie, którzy mogą żyć tylko w ten sposób, doznał dziwnie przykrego wrażenia; ze zdumieniem wzruszył ramionami i raz jeszcze obejrzał się wokoło.

— Jak tu jest jednak dziwnie — odezwał się w zamyśleniu, obejmując wzrokiem Lubę.

— Jak? — zapytała cicho.

Patrząc na stojącą przed nim dziewczynę, zrozumiał nagle, że zasługuje ona przedewszystkiem na politowanie; zaledwie zrozumiał to, począł jej szczerze żałować.

— Biednaś ty, Lubo.

— Co mówisz?

— Daj mi rękę.

Podkreślając nieco stosunek swój do dziewczyny, jako do człowieka, ujął jej rękę, składając na niej pełen szacunku pocałunek.

— Więc ty mnie tak całujesz?

— Tak, Lubo, ciebie.

I nagle głosem zupełnie cichym, jakby dzięcznie, zawołała:

-- Precz! Precz mi stąd bałwanie!

W pierwszej chwili nie mógł tego zrozumieć.

— Co takiego?

— Idź stąd. Precz mi stąd, precz!

Wielkimi krokami przeszła przez pokój i wydobywszy z kąta kołnierzyk rzuciła mu go pod nogi z uczuciem takiego obrzydzenia, jak gdyby to była istotnie brudna i wstrętna szmata. On ze swej strony, nie patrząc zupełnie na dziewczynę, począł w milczeniu wkładać na siebie kołnierzyk. Uplłynęła krótka chwila, i Luba z dziwkim wrzaskiem rzuciła się ku niemu, uderzając go z całej siły w wygolony policzek. Zachwiał się na nogach, a kołnierzyk wypadł mu z rąk na

podłogę. Zbladł dziwnie, niemal zsiniał i z wyrazem godności i dumnego zdziwienia, milcząc, spojrział na Lubę swemi ciężkimi, nieruchomemi oczyma. Ona spoglądała nań z przerażeniem, oddychając ciężko.

— No i co? — wykrztusiła wreszcie. Patrzył na nią i milczał. Dziewczyna aż nieprzytomna w dumnym poczuciu swej bezkarności, przerażona, tracąc panowanie nad sobą, jakby znajdowała się w obliczu kamiennej, milczącej ściany, chwyciła go za ramiona i siłą posadziła na łóżku. I pochyliła nad nim swą głowę—twarz przy twarzy, przy oczach:

— No i czemu milczysz? Co ty wyprawiasz ze mną podlecuc, ach ty podlecuc! W rękę mnie pocałował! Chęć się tu przyszedłeś! Szlachetność swą chcesz mi okazać! Ah, co ty ze mną wyprawiasz, o ja nieszczęśliwa!

Nieprzytomna szarpała go za ramiona, a chude jej palce, to zginając się, to rozprostowując, jak u kota, drapały po przez koszulę ciała.

— Nie znałeś kobiet, podlecuc jeden, co? I ty śmiałeś mi to opowiadać, mnie którą wszyscy mężczyźni... wszyscy... Gdzież ty masz nawet sumienie, żeby ze mną to wszystko wyprawiać! Żywcem im się nie dam, nie dam się, powiedziałeś! A ja już oto martwa jestem rozumiesz, nikczemniku, martwa już jestem. A oto plunę ci w gębę... Masz ty żywy! Masz, podlecuc, masz! Idź sobie teraz, idź...

Ogarnął go niepohamowany gniew, i nagle odepchnął ją od siebie tak mocno, iż tyłem gło-

wy ugodziła w ścianę. Widocznem było, iż utracił już moc panowania nad sobą; w następnej chwili szybkim i stanowczym ruchem wy dobył z kieszeni rewolwer -- który w rękach jego błysnął niby jakaś czarna, bezzębna i szeroko roz warta paszcza. Ale dziewczyna nie widziała ani jego oplwanej i mokrej twarzy, wykrzywionej w paroksyźmie wściekłego gniewu, ani czarnej lufy rewolweru. Rękami zasloniła oczy, jakgdyby chciała je wtłoczyć gdzieś w głąb czaszki i, przeszedłszy się wielkimi krokami po pokoju, rzuciła się na posłanie, utkwivszy twarz w poduszce. Wnet też rozległo się jej szlochanie.

Układało się wszystko nie tak jak sobie upla nował; wychodziło coś bezsensownego i bezmyśl nego; dziki pijacki chaos ukazywał swą zmiętą, ohydną larwę. Wzruszył ramionami, schował do kieszeni niepotrzebny rewolwer i przeszedł się kilkakrotnie po pokoju. Dziewczyna płakała. Przeszedł przez pokój jeszcze kilka razy—dziewczyna wciąż płakała.

Zatrzymał się przy niej i począł się jej przyglądać. Leżała przytulona głową do poduszki i w bezmiernej męce płakała tak rozpaczliwie, jak to czynią ludzie, oplakujący swe zmarnowa ne życie lub coś, (co było w ich życiu wielkiem i co już utracili bezpowrotnie.) Nagie jej ramiona to kurczyły się, zbliżając się niemal ku sobie, jakgdyby piersi jej dotykano rozpalonym węglem, to znów rozprężały się powolnie, jakgdyby do piersi przyciskała wszystek swój ból i smutek. Zagrzmiały ponownie dźwięki muzyki,

a do uszu ich doszedł dźwięk ostróg. Zapewne przybyli (oficerowie.)

Takiego płaczu nie zdarzyło mu się słyszeć nigdy jeszcze. Bezwiednie wydobyl ręce z kieszeni i cichym głosem przemówił:

— Luba.

Płakała dalej.

— Lubo, czemu ty płaczesz, Lubo!

Odpowiedziała mu coś, ale tak cicho, że nie dosłyszał jej słów. Siadł obok niej na łóżku, pochylił nad nią głowę i dotknął ramienia—i gdy ręka jego dotknęła wątlých i nagich piersi kobiety, drgnął dziwnie.

— Powiedz mi, Lubo, nie słyszałem, coś mówiła.

Po przez łzy usłyszał jej przyciszony głos.

— Zatrzymaj się, nie wychodź. Tam na salę przyjechali oficerowie... Jeszcze cię mogą... O, Boże mój, co się ze mną dzieje. Klasnęła w ręce, siadła na łóżku i nagle, jakgdyby zastygła, utkwiała w przestrzeń swe nieruchome, szeroko rozwarte oczy. We wzroku jej odmalował się jakiś straszliwy wyraz, lecz trwalo to jedną krótką chwilę. I znów rzuciła się na łóżku, a przyłgnąwszy twarzą do poduszki poczęła płakać.

Na sali rozbrzmiewały ostrogi, a grajek, jakby podniecony lub wystraszony czemś nagle, rytmicznie wybijał takty zamaszystego mazurka.

— Napij się wody, Lubko!... Wypij, wypij, proszę cię — szeptał pochylony nad nią. Ostrożnie odsunął czarne, kręcące się loki, któremi osło-

nięte było jej maleńkie różowe uszko i począł mówić do niej ponownie.

— Czy ci nie lepiej, Lubo?. . Powiedz Lubko?

Nie odpowiedziała nic, lecz westchnęła przeciągle i, odwróciwszy się, spojrzała nań nagle łagodnym wzrokiem. Następnie, spuściwszy nogi ku ziemi, siadła obok niego, spojrzała ponownie, poczem splotami swych włosów wytarła mu twarz i oczy. Westchnęła raz jeszcze i, czyniąc miękki, łagodny ruch, położyła głowę na piersiach mężczyzny; on otoczył ją ramieniem i przytulił lekko do siebie. I gdy tak siedząc przy niej palcami dotykał jej ramion, nie odczuwał już zawstydzenia, jak pierwej. Długi czas trwali w milczeniu, a ich zamglone oczy nieruchomo spoglądały przed siebie.

Nagle w głębi korytarza rozległy się jakieś głosy i kroki; delikatnie zadzwięczały ostrogi; odgłosy te zbliżały się ku drzwiom. On powstał szybko ze swego miejsca, a tymczasem do drzwi dobijano się, uderzając w nie początkowo palcami, a następnie pięścią. Jakaś kobieta stłumionym głosem wołała za drzwiami:

— Lubka, otwórz!

IV.

W oczekiwaniu, co uczyni, spoglądał na nią.

— Daj mi chustkę — odezwała się, wyciągając rękę i nie patrząc na niego. Otarła twarz, wytarła głośno nos i, rzuciwszy mu chustkę, zbli-

żyła się ku drzwiom. Po drodze zakręciła elektryczność i w pokoju stało się nagle tak ciemno i cicho, że usłyszał swój cokolwiek zduszony oddech. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, przysiadł na łóżku, które pod ciężarem jego skrzypnęło.

— Czegóż stukacie? czego wam potrzeba?— zapytała, nie otwierając drzwi; głos jej, w którym dźwięczało niezadowolenie, brzmiał spokojnie.

Rozległo się równocześnie kilka głosów kobiecych. Głosy te umilkły nagle i jakiś mężczyzna, nadając tonowi swej mowy dziwny szacunek, począł prosić natarczywie.

— Nie, nie wyjdę.

Głosy rozległy się ponownie i ponownie umilkły nagle, jakby pod dotknięciem nożyczek, rozcinających nić jedwabną. Rozległ się powtórnie młody, męski przekonywający głos, świadczący o białych, mocnych zębach i oczach mówiącego; jeszcze chwila i za drzwiami zabręczały wyraźnie ostrogi, jakgdyby mówiący pochylił się właśnie w ukłonie. I stała się rzecz szczególna: Luba zaśmiała się głośno.

— Nie, nie, nie pójdę.— Tak dobrze, mnie tu bardzo dobrze.— Niech tam mnie nazywają Lubą, a jednak ja nie pójdę.

Raz jeszcze zastukano do drzwi, rozległ się śmiech, przekleństwo, dźwięk ostróg, poczem wszyscy usunęli się i głosy ich załamały się gdzieś w końcu korytarza. W ciemnościach odnalazła ręką jego kolano i siadła obok, lecz już

nie kładła mu głowy na piersiach. Po chwili powiedziała:

— Oficerowie urządzają bal i zwołują wszystkie. Będą kotyljona tańczyć.

— Proszę cię, Lubo, — zwrócił się do niej uprzejmie — zapal lampę. Tylko nie gniewaj się na mnie.

Powstała w milczeniu i odkręciła elektryczność, ale nie usiadła już obok niego, lecz zajęła dawne swe miejsce naprzeciw łóżka. Twarz jej miała w tej chwili wyraz pochmurny i niemily, lecz uprzejmy, jakby była gospodynią domu, która musi przeczekać nieprzyjemną, przeciągającą się zbyt długo wizytę.

— Czy nie gniewasz się na mnie pani Lubo?

— Nie. Za cóż by?

— Dziwiłem się bardzo, słysząc pani wesoły śmiech. Jak to tak można się śmiać.

Uśmiechnęła się, nie patrząc na niego.

— Wesoło mi, więc się śmieję. A pan nie powinien teraz wychodzić. Trzeba zaczekać, pókad się oficerowie nie rozejdą. Oni nie długo pójdą sobie.

— Dobrze, poczekam. Dziękuję, Lubo.

Uśmiechnęła się znowu.

— Za cóż dziękować? Jaki pan jednak grzeczny.

— Czy pani się to podoba?

— Niebardzo. A kim są pańscy rodzice?

— Ojciec mój jest lekarzem wojennym. Dziadek był chłopem. Pochodzimy od staroobrzędowców.

Spojrzała nań z pewnem zaciekawieniem.

— Ah tak! A krzyżyka to niema na szyi.

— Krzyżyka? — powtórzył z uśmiechem.—

My dźwigamy nasz krzyż na krzyżu.

Dziewczyzna zmarszczyła się nieco.

— Panu się spać chciało. Niech się pan lepiej położy, zamiast w ten sposób czas przepędzać.

— Nie, nie położę się. Nie chce mi się spać teraz.

— Jak pan chce.

Nastala pauza długiego i niezręcznego milczenia. Luba patrzyła w ziemię, kręcąc z uwagą pierścionek na palcu; on rozglądał się po pokoju, usiłując za każdym razem ominąć wzrok dziewczyny, aż w końcu oczy jego spoczęły na niedopitym kieliszku koniaku. I nagle z niezwykłą wyrazistością wydało mu się, że wszystko, co go otacza, gdzieś już widział: i ten żółty kieliszek z resztkami koniaku, właśnie koniaku, i tę dziewczynę, bawiącą się pierścionkiem i siebie wreszcie—właściwie nie takiego jakim jest, lecz jakiegoś innego, cokolwiek innego, trochę odmiennego. I podobnie jak obecnie dopiero co skończyła się muzyka i rozlega się cichy brzęk ostróg. I wydało mu się, że kiedyś już znajdował się w podobnych okolicznościach, lecz nie w tym domu, ale w jakimś innym, bardzo podobnym do tego; w domu tym odgrywał nawet pewną, dość wybitną rolę. Dziwaczne to uczucie było tak wyraziste, że aż potrząsnął głową z przestraszchem. Uczucie to szybko znikło, lecz nie roz-

wiało się w zupełności; w pamięci jego pozostał delikatny ślad wspomnień o tem, czego w istocie rzeczy nie przeżył. I później jeszcze nieraz w ciągu tej niezwykłej nocy zdarzało mu się częstokroć, że gdy spojrzął na jakiś przedmiot, poczynał przypominać go sobie, wywołując go z zamglonej przeszłości, lub nawet z niebytu.

Chwilami wszystko to wydawało mu się tak zwykłym i znanym, że gdyby nie wiedział o tem z pewnością, gotówby myśleć, że był tu już niegdyś. Było to dlań nieprzyjemnem, ponieważ odsuwało go zlekka od siebie i swoich i w jakiś szczególny sposób wprowadzało w atmosferę domu publicznego i jego dzikiego, ohydneho życia.

Milczenie poczynało mu ciążyć, więc zapytał.

— Dlaczego pani nie pije?

Drgnęła.

— Co takiego?

— Niech się pani napije. Czemu pani nie pije?

— Sama pić nie chcę.

— Niestety, ja nie piję.

— A ja znów sama pić nie chcę.

— Wolę zjeść gruszkę.

— Niech pan je. Pocóż kazał je pan przynosić.

A pani gruszki nie chce?

Dziewczyna odwróciła się w milczeniu. Kiedy spostrzegła, że oczy jego spoglądają na jej

nagie, przezrocze ramiona, narzuciła na siebie chustkę włóczkową.

— Jakoś chłodno.

— Tak, chłodno jakoś — powtórzył, aczkolwiek w pokoiku było gorąco.

Nastąpiło znowu uporczywe milczenie. Z sali dochodziły do nich rozgłosne dźwięki muzyki.

— Tańczą — zauważył.

— Tańczą — brzmiała odpowiedź.

— Za coś pani tak rozgniewała się na mnie...
Za coś mnie pani uderzyła?

Po chwili milczenia odrzekła ostro:

— Trzeba tak było, więc uderzyłam. Nie zabiłam przecież, o cóż więc pytać. — Zaśmiała się brzydtko.

Powiedziała twardo „tak trzeba było“. Patrzyła wprost swemi czarnemi, podmalowanemi oczyma, uśmiechała się blado i stanowczo, gdy wymawiała: tak trzeba. Trudno było przypuścić, iż ta zła i blada twarz jest właśnie tą samą, która przed kilku minutami spoczywała na jego piersiach. I tę kobietę głaskał.

— Więc to tak — wyrzekł w milczeniu. Przeszedł się kilkakrotnie wzdłuż pokoju, nie zbliżając się jednak do dziewczyny dalej niż na krok; gdy wreszcie zajął dawne swoje miejsce, na twarzy jego malował się jakiś obcy, posępny i cokolwiek dumny wyraz. W milczeniu spoglądał na sufit, na którym widniała jasna plama o różowych brzegach. Po suficie pełzało coś małego i czarnego, prawdopodobnie zapóźniona mucha jesienna, która odżyła wskutek ciepła. Zbu-

dziła się ona do życia wśród nocy, z pewnością nic nie rozumie i zapewne umrze prędko. Westchnął.

Dziewczyna roześmiała się głośno.

— Co panią tak cieszy? — zapytał chłodno, odwracając się od niej.

— A ot tak. Bo przecież pan jest istotnie podobny do literata. Pan się na mnie nie obraża? Literat także, najpierw poczyną się litować, a potem irytuje się dlaczego nie patrzę na niego, jak w obraz. Taki już obraźliwy. Gdyby był Bogiem, nie przebaczyłby ani jednej niezapalanej lampki.

Roześmiała się.

— A skąd pani zna literatów? Przecież pani nic nie czytuje!

— Bywa tu jeden.

Zamyślił się, utkwivszy w dziewczynę nieruchomy, ciężki, jakiś dziwnie badawczy wzrok. Jako człowiek, którego życie upłynęło wśród ciągłego wicherzenia, podejrzewał on intuicyjnie, że i w dziewczynie tej kołatała się buntownicza dusza; stąd męczyło go i zaciekawiało pytanie: dlaczego on właśnie stał się przedmiotem jej gniewu? To co opowiadała mu o literatach, z którymi prawdopodobnie rozmawiała, i zachowanie się jej, niekiedy tak spokojne i pełne powagi, niekiedy zaś tak gniewne, mimowoli podnosiło ją w oczach jego; uderzenie, jakie mu zadała, miało dlań charakter o wiele poważniejszy, aniżeli zwyczajny histeryczny wybuch nawpół nagej i napół pijanej prostytutki. I to co z po-

czątku wzbudziło w nim tylko gniew, lecz nie uraziło go zupełnie, teraz po upływie dłuższego czasu wydawało mu się obrażającym, a w grę wchodził tu już nietylko sam rozum.

— Za coś mnie pani uderzyła? Przecież kiedy człowieka biją po twarzy, powinni mu przynajmniej powiedzieć za co? — ponowił natarczywie pytanie.

— Nie wiem—odpowiedziała również uparcie, lecz unikając jego wzroku.

Nie chciała mu odpowiadać. Wzruszył ramionami i znów począł uparcie patrzeć na dziewczynę i zastanawiać się. Myśli jego płynęły zazwyczaj ociężale i leniwie; raz jednak poruszone poczynąły pracować wytrwale i mocno, niemal mechanicznie; stawały się one podobne do prasy hydraulicznej, co opuszczając się powoli, rozdrabnia kamienie, zgina żelazne łomy, dławi ludzi, jeżeli dostaną się pod nią — sunie obojętnie, zwolna i bezwzględnie.

Podniecony i oszołomiony, podobny do jakiegoś wielkiego parowozu, który wśród czarnej nocy wykoleił się i mimo to jakimś cudownym sposobem w dalszym ciągu porusza się — szukał drogi; szukał, pragnąc za jakąkolwiek cenę odnaleźć ją.

— Pomówmy, Lubo, spokojnie. Przecież trzeba jakoś.

— Nie chcę rozmawiać spokojnie.

— Znowuż to samo!

— Proszę mnie wysłuchać. Pani mnie uderzyła, a przecież ja tak tego zostawić nie mogę.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Czy tak? Cóż więc pań ze mną zrobi? Do sądu mnie pan poda?

— Nie. Ale będę pótąd chodzić do pani, dopóki mi pani nie wytłomaczy.

— Proszę, jeżeli łaska. Niech sobie gospodyni ma dochód.

— Jutro przyjdę. Zaraz jutro.

I nagle równocześnie z myślą, że ani jutro, ani pojutrze przyjść nie będzie mógł, począł zgadywać a nawet nabral pewności, dlaczego dziewczyna zachowała się w ten sposób. Wnet poprawił mu się humor.

— Ah tak, więc to tak. Zostałem uderzony za to, że litowałem się nad panią, że obraziłem panią swoją litością? Tak, to było z mojej strony niezręczne... Ale ja doprawdy nie chciałem czegoś podobnego, choć może to istotnie obraza. Rozumie się, skoro pani jest takim samym człowiekiem, jak ja...

— Takim samym? — powtórzyła z uśmiechem.

— Eh, dość już tego. Niech mi pani da rękę na zgodę.

Luba pobladła lekko.

— Czy pan chcesz, żeby mi mu znów dała po pysku.

— Ależ niech mi pani poda rękę po koleżeńsku, po koleżeńsku! — zawołał szczerym głosem.

Luba powstała z miejsca i, odsunawszy się nieco, rzekła:

— Wie pan co... Pan jest albo głupi, albo też pana istotnie mało bili.

Spojrzała na niego i roześmiała się głośno.

— Jak Boga kocham, zupełnie jak mój literat. Najprawdziwszy literat! Jakżeż cię nie bić, mój ty kochaneczku!

Widocznie słowo literat uważała za obelżywe i widocznie miało ono dla niej jakiś odrębny sens. Lekceważąco przeszła się po pokoju i, nie licząc się z jego osobą zupełnie, jakby był dla niej rzeczą, lub beznadziejnym idjotą czy też pijakiem, rzuciła przez ramię:

— A czy mocno cię uderzyłam? Czegóż tak ciągle harcujesz?

Nie odpowiedział.

— Mój literat powiada, że ja biję mocno. Ale może on ma i twarz delikatniejszą, a bić po takim chamskim ryju, jak twój nie tak łatwo. Ja walę, a ty nawet może nie czujesz. Oj, wielu ja już różnych ludzi biłam po pysku, ale nikogo mi tak żal nie było, jak tego mego literacika. Bij mnie, powiada, bij, to mi się należy. Zapite to, oślinionę, aż obrzydzenie bierze, kiedy go biję. Takie bydlę. O twój pysk, to aż sobie rękę stłukłam. Masz, pocałuj to miejsce.

Przytknęła mu rękę do ust i znowu poczęła chodzić. Podniecenie jej rosło i zdawało się chwilami, że dusi się z wielkiego gorąca: tarła swe piersi, oddychała szeroko rozwartymi ustami, a rękami chwytala bezwiednie za frendzle przy firankach. Dwukrotnie nalala sobie konia-

ku i wypić duszkiem. Za drugim razem zadał jej pytanie.

— Przecież pani nie chciała pić sama?

— Taki już mam słaby charakter, kochane-
neczku — odrzekła z prostotą. Ja już zatruta
jestem. Jak nie piję jakiś czas, zaraz mnie
duszność chwyta. Zdechnę z tego.

I nagle, jakgdyby spostrzegła go dopiero
przed chwilą, wytrzeszczyła nań oczy zdziwiona
i zaśmiała się głośno:

— Ah, to ty jesteś. Toś ty jeszcze nie po-
szedł. Posiedź, posiedź.

W oczach jej błysnął dziki jakiś płomień,
zerwała chustkę z ramion i znów ukazały się jej
zaróżowione ramiona, i delikatne, chude ręce.

— Ciekawa rzecz, po com się okryła? Tu
i bez tego gorąco. Ah, to ja tak jego się wsty-
dziłam. A ja radzę, niech pan mnie słucha i zdej-
mie spodnie. A może ma pan brudne kalesony,
ja panu swoich pożyczę. Chyba to panu nie
przeszkodzi, że z przedziałkiem? Niech się pan
w nie ubierze. No mój drogi, mój kochany, co
ci to szkodzi...

Śmiała się i, dławiąc się ze śmiechu, wycią-
gała doń ręce. Jeszcze chwila i, ukląkłszy przed
nim, poczęła chwytać go za ręce, błagając:

— Mój kochany, mój najdroższy, ja ci już
za to rączki ucałuję!...

Odsunął się od niej i smutnym głosem po-
wiedział:

— Za co to wszystko? Co ja pani zrobi-
łem. Przecież ja się tak delikatnie zachowuję...

Za co to wszystko, za co? Jeżeli panią obraziłem, proszę o darowanie winy. Przecież ja się na tem wszystkim, ja się na tych wszystkich sprawach nie znam.

Wzruszyła pogardliwie ramionami i, zerwawszy się szybko z podłogi, usiadła. Z trudnością chwytala oddechi.

— Więc pan nie włoży. Szkoda, jaby tak chciała na to popatrzeć.

Niepewnym głosem, jękając się, począł mówić:

— Proszę mnie wysłuchać, Lubo. Rozumie się, że wszystko to jest bagatelką. I jeżeli tak pani chce tego, to... można zgasić światło. Niech pani zgasi.

— Co takiego? spytała z szeroko rozwartymi oczami.

— Chciałem powiedzieć, że pani jest kobietą, ja zaś... Oczywiście rzecz, że ja nie miałem racji... Niech pani nie myśli, że ja to mówię przez współczucie... Nie, zupełnie nie. Ja sam nie jestem od tego. Niech pani zgasi światło.

Uśmiechnął się zawstydzony i z niezręcznością człowieka, który nigdy nie miał do czynienia z kobietami, wyciągnął do niej rękę.

Dziewczyna spoglądała nań z zapartym oddechem, zaciskając kurczowo pięści. Żrenice jej rozszerzyły się nagle; we wzroku malowała się wzgarda, smutek i przestrasz.

— Ah, ty nikczemniku... O Boże mój...

O jakiś ty podły!

Twarz jego oblał purpurowy rumieniec wstydu; i oto on, który przed chwilą dopuścił się wo-

bec niej obraży, poczuł się nagle znieważony; tupnął nogą, a z ust jego padły ordynarne, urwane słowa:

— Zamilcz ty szelmo... prostytutko jedna!

Dziewczyna poruszała tylko głową, powtarzając:

— Boże, Boże! Ah jakiś ty podły.

— Milcz gadzino! Pijana jesteś. Oszalałaś chyba. Myślisz może, że ja pragnę twego przekłętego ciała. Myślisz, że dla takiej jak ty czystość strzegłem. Bić cię trzeba, łotrzyco jedna!— Podniósł rękę, jakby do uderzenia, lecz nie uderzył.

— O mój Boże, mój Boże!

— I jeszcze litość nad takimi mają... Tępić trzeba tę obrzydliwość... I wszystkich tych łajdaków, co sterczą przy was... I ty mogłaś coś podobnego pomyśleć o mnie, o mnie! — Ścisnął ją mocno za ręce i posadził z siłą na krzesło.

Dziewczyna śmiała się, jakby gniew jego sprawił jej radość i wprowadził ją w zachwyty.

— Dobry! Co? taki dobry?

— Tak, dobry! Uczciwy przez całe swoje życie. Czysty! A ty co? Kim jesteś, gadzino, nieszczęśliwy zwierzaku?

— Dobry!—przedrzeźniała dziewczyna tryumfalnie.

— Tak, dobry. Pojutrze pójdę na śmierć, poświęcę się dla ludzi, a ty co? Z rękami moimi spać będziesz. Idź, wołaj tu swoich oficerów. Rzucę im ciebie pod nogi. Macie, bierzcie sobie waszą padlinę. Idź, wołaj ich! Luba wstała ze

swego miejsca powoli. On patrzył na nią wzburzony i dumny i nagle spostrzegł, że oczy jej spoglądają nań w tej chwili z jakąś dziwną dumą i że maluje się w nich pogarda większa jeszcze, aniżeli w jego wzroku. Patrzyła na niego z politowaniem. Jak gdyby w cudu godzinie zaszła w niej nadzwyczajna przemiana: prostytutka stanęła nagle na stopniach jakiegoś niewidzialnego tronu i, stojąc na tej wyżynie, oglądała z zimną i surową powagą coś nikłego i krzykliwego, wijącego się u jej stóp, coś co zasługiwało na litość. Nie śmiała się już, a wzruszenie jej gdzieś znikło; kobieta ta tak dziwnie spoglądała z góry na dół, iż oczy mimowoli szukały szczebla, na którym znalazła oparcie.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał, cofając się o krok; był jeszcze rozwścieczony, lecz mimowoli już poddawał się jej zimnemu dumnemu spojrzeniu.

I nagle, ze złowrogą i niezachwianą powagą i mocą swoich przekonań—z tą mocą, w której odzwierciadlała się krzywda milionów sporniewieranych istnień ludzkich, i bezmierne morza gorzkich łez, i płomienny wiekuisty bunt oburzonej sprawiedliwości—zadała mu pytanie:

-- A jakież ty masz prawo być dobrym, kiedy ja jestem złą?

— Co mówisz? — Nie zrozumiał jej odrazu, uląkłszy się tej czarnej przepaści, jaką nagle ujrzął pod swemi stopami.

— Oczekiwałam na ciebie oddawna.

-- Czekalaś na mnie?

— Tak. Czekalam przybycia kogoś dobrego. Wszyscy oni, ci wszyscy, którzy tu przychodzili do mnie, skarżyli się, że są podli. Bo też są oni i podli. Mój literat mówił z początku, że jest dobry, a potem przyznał się, że jest także podły. Takich mi nie trza.

— A kogóż ci trzeba?

— Ciebie mi potrzeba, mój miły. Ciebie. Tak, zupełnie takim jesteś — przyjrzała mu się uważnie od stóp do głowy i potwierdzająco kiwnęła głową.— Tak. Dzięki za przyjście.

I oto on, który nie bał się nikogo, począł się lękać.

— Czegóż ci trzeba?— zapytał, cofając się.

— Trzeba mi było uderzyć kogoś dobrego; tak jest, mój kochany, kogoś prawdziwie dobrego. Na tych wszystkich innych nieponiów, to nawet szkoda rękę podnosić, żeby jej nie powalać nadto. Więc uderzyłam cię, a teraz mam chęć ucałować za to swą rękę. Miła mi ręka moja, bo uderzyła kogoś dobrego.

Roześmiała się i rzeczywiście poczęła głaskać swą rękę, a potem ucałowała ją trzykrotnie. On popatrzył na nią dziko, a myśli jego, sunące dotąd tak wolnym szlakiem, poczęły wirować z zawrotną szybkością; jak chimura czarna zbliżało się ku niemu coś straszego, coś niemożliwego już do cofnięcia, jak śmierć.

— Coś ty powiedziała?... Coś ty takiego powiedziała?

— Powiedziałam: wstyd być dobrym. A czyś ty nie wiedział o tem?

— Nie wiedziałem— odpowiedział zamysłony, jakby zapominając o jej istnieniu. Usiadł.

— No to się teraz dowiedz o tem.

Mówiła cicho i jedynie tylko niespokojnie falująca pod koszulą pierś świadczyła o tem wielkiem wzruszeniu jakie targa jej istotą, i o rozpaczonym, jakby wyrwanym z tysiąca gardzieli, krzyku, jaki usiłowała zdusić w swem łonie.

— Cóż, teraz się już dowiedziałeś?

Ocknął się z zadumy.

— Cóż, pytam się, czy zrozumiałeś już teraz?

— Zaczekaj.

— Zaczekam, mój kochany. Skoro czekałam pięć lat, mogę jeszcze i przez pięć minut czekać.

Siadła na krześle i, jakby oczekując przyścia jakiegoś niezwykłego szczęścia, złożyła swe obnażone ręce i zamknęła oczy.

— O ty kochany, o ty mój kochany!

— Powiedziałaś mi: wstyd być dobrym?

— Tak, mój kochany, wstyd.

— Więc to tak ma być! — ogarnięty nagłą trwogą, urwał w połowie rozpoczęte zdanie.

— Tak, to tak jest? Złakłeś się? Nic, nic. To tylko z początku brzmi tak strasznie.

— A później?

— Zostaniesz ze mną, to się dowiesz, co później?

Nie zrozumiał jej.

— Jako zostanę?

Z kolei zdziwiła się dziewczyna:

— A czyż teraz po tem wszystkim mógłbyś tak odejść. Nie oszukasz mnie chyba. Przecież ty nie jesteś takim podłym, jak inni. Jeżeli jesteś dobrym, pozostaniesz ze mną; nie pójdziesz stąd nigdzie. Toż nie daremnie czekałam na ciebie.

— Oszalałaś chyba — odrzekł ostro.

Ona spojrzała nań surowo i pogroziła palcem.

— Nie mów tak; to złe jest. Skoro ukazała ci się prawda, pokłoń się jej nisko, lecz nie mów: tyś oszalała chyba. W ten sposób przemawia mój literat: zwarjowała! Ale on może tak mówić, bo on przecież jest podły. Ty bądź uczciwym.

— A jeżeli nie zechcę zostać — uśmiechnął się pośępnie, a jego zbieleiałe wargi drżały kurczowo.

— Zostaniesz — rzekła z mocą. — Dokądże pójdziesz teraz. Tyś uczciwy. Zrozumiałam to już wówczas, kiedyś pocałował mnie w rękę. Głupiec jakiś — pomyślałam — ale uczciwy. Ty nie obrażasz się chyba o to, że cię wzięłam za głupca. Aleś ty sam temu winien. Po coś ze swą niewinnością występował. Myślał sobie: dam jej niewinność moją, to się uspokoi. Ah, głuptasek, głuptasek! Z początku obraziłam się nawet. Cóż to, myślę sobie, nawet mnie za człowieka nie uważa, ale później pomyślałam, że to także płynie z twojej dobroci. Ja wiem, tyś sobie myślał w ten sposób. Poświęcę jej moją niewinność i przez to stanę się jeszcze niewinniej-

szy; dzięki temu będę miał coś w rodzaju rubla, którego nigdy zmienić nie można. Dam go żebrakowi i niezadługo rubel powróci do mej kieszeni. Nie, mój kochaneczku, tak nie idzie.

— Nie idzie?

— Nie-e, kochasiu, nie trafiłeś na głupią. Na takich kupców tom się już dosyć napatrzyła: zagrabi miljony, a później da rubla na kościół i myśli, że ma rację. Nie, mój kochaneczku, zbuduj ty mi cały kościół. Daj ty mi to, co masz najdroższego, a on mi daje niewinność! A może oddajesz mi swoją niewinność dlatego, że ci już niepotrzebną się stała, że już zaplesniała. Czy masz narzeczoną?

— Nie.

— A czy oddałbyś swoją niewinność, gdybyś miał narzeczoną i gdybyś wiedział, że będzie ona jutro czekała na ciebie z pocałunkami, kwiatami i miłością?

— Nie wiem — odpowiedział w zamyśleniu.

— To, to właśnie. Powiedziałbyś wtedy: zabierz mi lepiej życie, ale pozostaw niewinność. Co mniej warte, to gotów jesteś oddać. O nie, oddaj ty mi co masz najdroższego, coś co masz najdroższego, coś takiego, bez czego żyć nie możesz, ot co?

— Ale po cóż ja ci to oddam? po co?

— Jakto po co? Po to żeby mi wstyd nie było.

— Luba — zawołał w zdumieniu — przecież ty sama jesteś...

— Chcesz powiedzieć, że jestem dobra?

I to już słyszałam. Mówił mi to nieraz mój literacik. Ale to, widzisz mój kochany, nieprawda. Najzwyczajniejszą dziewczką jestem. Ot, zostaniesz się, to się dowiesz.

— Ależ ja nie zostanę,— zawołał przez zacisnięte zęby.

— Nie krzycz, kochaneczku. Krzykiem przeciw prawdzie nic nie poradzisz. Prawda przyjdzie tak samo jak i śmierć, więc trzeba ją brać taką, jaką jest w istocie. Wiem to po sobie, kochaneczku, jak ciężko jest spotkać się z prawdą.

Po chwili, patrząc mu wprost w oczy, dodała:

— Przecież Bóg jest niby też dobry.

— Więc.

— Więcej nie powiem. Powinieneś sam to zrozumieć. Tylko że już od pięciu lat nie byłam w kościele. Ot i masz ona niby prawdę.

Prawda — jakąż prawdą. Skądże ta nowa, nieznana okropność, której nie znał przedtem ani w obliczu śmierci, ani w obliczu życia. Prawda! On, który do tej pory znał jedynie tylko tak i nie, siedział w zadumie z ręką wspartą na głowie i zwolna wodził naokół oczyma, jakby dążył z jednego krańca życia na drugi jego kraniec. Życie jego rozpadało się jak złe sklejona skrzynka drewniana, smagana deszczem jesiennym; i w tych smutnych cząsteczkach niepodobna już było poznać tak pięknej i czystej do niedawna jednolitej skarbnicy jego duszy. Przypominali mu się drodzy i ukochani towarzysze, z którymi z przedziwną jednomyślnością

pracował przez całe swe życie wśród smutku i radości. I wszyscy oni wydali mu się jakimiś obcymi, całe ich życie niezrozumiałem, a praca ich bezsensowną. Jakgdyby ktoś wziął duszę jego w potężne ręce i przelamał ją jak laskę na swem kolanie a potem odrzucił precz oba końce. Znajduje się tu zaledwie kilka godzin, przed kilku godzinami dopiero opuścił inny świat — a wydaje mu się, jakgdyby nie wychodził stąd nigdy, lecz przeżył tu życie całe w pobliżu tej wspaniałej kobiety, słuchając dźwięków oddalonej muzyki i brzęczenia ostróg. I nie umie odpowiedzieć, czy są to szczyty, czy też niziny, wie tylko że ku udręce samego siebie znajduje się po przeciwległej stronie tego wszystkiego, co tak niedawno, dziś jeszcze — było dlań treścią życia i duszy. Wstyd jest być dobrym...

Przypomniały mu się książki, z których uczył się żyć i uśmiechnął się gorzko. Książki! Oto widzi przed sobą książkę — siedzi z obnażonemi rękami, z zamkniętymi oczyma, z wyrazem błogości na swej bladej, zmęczonej twarzy i czeka cierpliwie. Wstyd jest być dobrym... I nagle, ogarnięty lękiem i trwogą, w bólu i męce uczuł, że dawne życie skończyło się już dlań na zawsze — że odtąd nie może być już dobrym. Dotąd żył wyłącznie myślą, iż jest dobry, tem tylko się cieszył, ten pogląd jedynie przeciwstawił myśli i o życiu i o śmierci. I oto niema już tego wszystkiego, i niema już nic. Mrok.

I cokolwiekbądź, czy pozostanie tu, czy też wróci znowu do swoich — wie już, że więcej niema swoich. Ah, czemu wszedł do tego przeklętego domu! Czyż nie lepiej było pozostać na ulicy, oddać się w ręce szpiegom i dostać się do więzienia — bo czemuże w porównaniu z tem jest więzienie, w którym można być dobrym, i w którym nie jest to jeszcze wstydem. A teraz nawet już do więzienia zapóźno.

— Czy ty płaczesz? — spytała zaniepokojona dziewczyna:

— Nie — odpowiedział opryskliwie. — Nie płacę nigdy.

— I nie powinienes, kochaneczku. Tylko my kobiety możemy płakać, wam czynić tego nie wolno. Bo jeżeli i wy poczniecie płakać, któż wówczas odpowiadać będzie Bogu?

— Lubo—zawołał smutnie.—Cóż więc czynić? Co czynić!

— Zostań się ze mną. Pozostań ze mną — przecież ty teraz jesteś moim.

— A oni?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Jacy oni jeszcze?

— No ludzie, ci ludzie — zawołał z wściekłością — ludzie dla których pracowałem! Przecież, w istocie rzeczy, nie dla siebie, nie dla własnego zadowolenia czynilem to wszystko — gotowałem się do spełnienia zabójstwa!

— Tylko ty mi o ludziach nie mów! — odpowiedziała poważnie z drżeniem warg.— Lepiej

nie mów ty mi nic o ludziach, bo znów bić cię pocznę. Słyszysz.

— Co się z tobą dzieje? — spytał zdumiony.

— A cóż to, czy to ja pies jestem? A my wszyscy—czyliż jesteście psami? Strzeż się, mój kochanečku! Ukrył się poza ludzi i zadowolony z tego. Nie uciekaj, kochanečku, przed prawdą, bo nigdzie nie ukryjesz się przed nią! Jeżeli kochasz ludzi, jeżeli ci żal nas smutnych—to oto bierz mnie. A ja, mój, kochany, wezmę ciebie!

IV.

Siedziała w błogiem upojeniu, załamawszy ręce, obłąkana szczęściem — jakgdyby oszalała nagle. Potakiwała głową i, nie otwierając swych rozmarzonych błogo oczów, mówiła wolno, śpiwając prawie:

— Kochanku mój! Będę piła z tobą. Będę płakała z tobą — o jakże słodko będzie nam płakać razem — kochanku ty mój. Wypłaczę się za całe życie moje! Pozostał ze mną, nie odszedł. Kiedy ujrzałam cię dziś w lustrze, pomyślałam odrazu: oto on, wybrany mój, on najmilszy mi. I nie wiem, czy jesteś moim bratem, czy też narzeczonym, lecz jesteś tak mi blizkim, takim moim i tak bardzo upragnionym przezemnie...

W tej chwili i jemu przypomniało się dwoje czarnych, milczących ludzi w żalobie, których ujrzał tam na sali w szybie lustrzanej i równo-

częściej przypomniło mu się pierwsze wrażenie: „jak na pogrzebie“. I nagle doznał tak bolesnych uczuć, tak dziwną wizją wydało mu się to wszystko, że aż zgrzytnął rozpacznie zębami. Idąc dalej śladem swych myśli, przypomniawszy sobie swój ulubiony rewolwer w kieszeni — dwudniową pogoń, drzwi bez klamki; i przypomniawszy mu się, jak szukał dzwonka i jak na spotkanie jego wyszedł lokaj w brudnej koszuli płóciennej, i jak następnie wszedł w towarzystwie gospodyni na salę, gdzie ujrzał trzy nieznane sobie kobiety.

Stopniowo doznawał coraz większej ulgi, aż wreszcie zrozumiał wyraźnie, że właściwie pozostał takim jak i był przedtem, najzupełniej wolnym, i może pójść dokąd mu się podoba.

Rozejrzał się bacznie po nieznanym pokoi-ku i z surową uwagą człowieka, który, zbudziwszy się na chwilę z pijackich marzeń, ujrzy się nagle w nieznanem sobie środowisku, zakonkludował:

— Co to jest! Jakiż to bezsens! Jakże dziwacznym jest ten sen!

.

Muzyka wciąż grała, kobieta zaś siedziała z załamaniem rękoma, uśmiechając się w milczeniu, upadająca pod brzemieniem szalonego, niebywałego szczęścia. Nie był to jednak sen.

.

— Co to wszystko znaczy? Więc to jest prawda?

— Prawda, kochaneczku. Ty i ja jesteśmy nierozdzielni.

Więc to jest prawda. Więc prawda — to te zmięte spódnice, wiszące na przeciwległej ścianie w swym nagim bezwstydnym. Więc prawda — to ono łoże, na którym tysiące pijanych mężczyzn tarzało się w skurczach brudnej rozkoszy? Więc prawda — to ta pachnąca stara wilgotna woń, która przylega do twarzy i napawa swym wstrętem. Więc prawda — to ta muzyka i te ostrogi. Więc prawda — to ona, ta kobieta o bladej, zmęczonej twarzy i politowania godnym uśmiechu szczęścia.

I znów oparł ciężką swą głowę na rękach i, patrząc z podelba wzrokiem wilka, o którym nie da się powiedzieć czy ma on być zabitym za chwilę, czy też sam szykuje się do zabójstwa, począł myśleć bez związku:

Więc to jest ona prawda... Więc ma to znaczyć, iż nie pójdę ani jutro, ani pojutrze i wszyscy dowiedzą się, dlaczego nie poszedł, lecz zostałem z dziewczką i spałem się; i wszyscy nazwą mnie zdrajcą, tchórzem, nikczemnikiem. Niektórzy z towarzyszków wystąpią w obronie, będą czynili domysły... nie, lepiej nie liczyć na to, tak będzie lepiej. Skoro się to już raz skończyło, niechże to będzie naprawdę koniec. Jeżeli iść w ciemność, więc już pójść w tę ciemność. I co dalej? Nie wiem. Ciemno, zapewne coś przerażającego — przecież ja jeszcze nie znam

ich życia. Jakie to dziwne: trzeba się uczyć, aby być złym. Któż ma mnie uczyć? Ona? Nie, ona nie jest zdolną do tego, ona nic nie wie; głupstwo, już ja sobie jakoś dam z tem radę. Trzeba być złym naprawdę, tak, żeby... Ohi, zburzę coś wielkiego! A później, przyjdę do niej któregośkolwiek bądź dnia, przyjdę albo do szynku, albo na katorgę i powiem: teraz już się nie wstydzę, teraz wobec was nie czuję zupełnie mej winy, bo teraz jestem taki sam, jak i wy, brudny, upadły, nieszczęśliwy. Albo wyjdę na plac publiczny, ja człowiek upadły, i powiem: przypatrzcie mi się, jakim jestem! Posiadałem wszystko: i rozum, i honor i godność i nawet— aż pomyśleć strasznie—nieśmiertelność; i wszystko to rzuciłem pod nogi prostytutki, wszystkiego wyrzekłem się dlatego, że ona była złą.— A cóż oni na to? Roztworzą usta szeroko, będą się dziwować i powiedzą: „głupiec“! Oczywiście, że głupiec. Bo cóż ja winien, że mam dobrego? Niechże i ona i wszyscy inni starają się być dobrymi. Rozdaj ubogim swe mienie. Ale przecież tu mowa o majątku, a słowa te powiedział Chrystus, w którego nie wierzę. Albo jeszcze inaczej: kto poświęci życie swoje—nie życie, ale duszę — tak jak i ja tego pragnę. A czyli Chrystus dopuszczał się grzechów z grzesznikami, czy oddawał się rozpuście, pijaństwu? Nie, on tylko im przebaczał a nawet kochał. Lecz i ja też ją kocham, przebaczam, żałuję jej — lecz po cóż mam ginąć? Tak, ale przecież ona nie

chodzi do kościoła, ja nie chodzę także. To nie Chrystus, to coś innego, coś straszniejszego.

— To jest straszne, Lubo.

— Straszne, kochaneczku. Straszne jest, gdy człowiek spotka się z prawdą.

I znowu mówi o prawdzie. Ale dlaczegoż to ma być straszne? Czegoż się lękam? Czyż mogę się obawiać, kiedy sam chcę tego? Rozumie się, że nie mam czego się lękać. A czyliż tam na placu— wobec tak licznych szeroko rozwartych ust — nie będę wyższym, aniżeli oni wszyscy? Nagi, brudny, oberwany, o twarzy ohydnej. Czyż ja, który poświęciłem wszystko, nie będę wówczas groźnym zwiastunem wiekuiściej sprawiedliwości, której powinien poddać się i sam Bóg — gdyż inaczej nie byłby Bogiem!

— Nie kochaneczku, są. Nie lękasz się, dobrze, ale nie wyrażaj się w ten sposób. Tak nie trzeba.

Więc to w taki sposób skończyłem. Nie spodziewałem się tego. Nie takiego losu oczekiwałem dla mego młodego, pięknego życia. Boże mój, ale przecież to szaleństwo, ja chyba zwarjowałem. Jeszcze nie jest zapóźno. Nie zapóźno jeszcze. Jeszcze można uciec!

— Kochaneczku ty mój! — mruzczała kobieta, załamując ręce.

Spojrzał na nią chmurnie. W jej przymkniętych oczach i w szczęśliwym bezmyślnym uśmiechu czaiła się jakaś nieukojona żądza i nienasycony głód. Jakgdyby pożarła już coś olbrzymiego i zabiera się do nowego pożarcia.

Spojrzał cłimurnie na jej cienkie, delikatne ręce, na ciemne wgłębienia pod pachami i powoli wstał. Jakby czyniąc ostatni wysiłek, aby ocalić coś bardzo drogocennego — życie lub rozsądek, albo może swą starą dobrą prawdę, począł ubierać się zwolna i poważnie. Gdzieś zapodział mu się krawat.

— Słuchaj, czy nie widziałas mego krawata?

— A ty dokąd idziesz? Ręce jej opadły i cała postać pochyliła się ku niemu.

— Odchodzę.

— Odchodzisz — powtórzyła przeciągle. — Odchodzisz? I dokąd?

Uśmiechnął się ponuro.

— A czyż ja nie mam gdzie pójść. Idę do mych towarzyszków.

— Do dobrych? Więc oszukałeś mnie?

— Tak, do dobrych—powtórzył z uśmiechem. Wreszcie ubrał się i dotknął dłonią bocznej kieszeni.

— Daj pugilares.

Podala mu.

— A gdzież zegarek?

Podala mu zegarek, który leżał tuż na stoliku obok.

— Żegnaj mi.

— Złakles się?

Zapytanie swe wypowiedziała w sposób naturalny i prosty. Spojrzał na nią: przed nim stała wysmukła, wysoka kobieta z cienkimi, dziecinnymi niemal rękami; na bladej twarzy igrał uśmiech, zbiełate jej wargi szeptały.

— Złakles się?

Zmieniała się w jakiś dziwny sposób; chwilami czyniła wrażenie silnej, a nawet strasznej swą siłą, to znów, jak teraz, była smutną i bardziej podobną do dziewczyny, aniżeli do kobiety. Zresztą było mu to obojętne. Uczynił krok ku drzwiom.

— A ja myślałam, że pozostaniesz.

— Co takiego?

— Myślałam, że pozostaniesz tu ze mną.

— Po co?

— Klucz masz u siebie w kieszeni. A ot tak: żeby mi lepiej było.

Przekręcił już klucz w zamku.

— A no cóż. Idź. Idź sobie do swoich dobrych, a ja tu...

I oto wówczas w tej ostatniej chwili, gdy pozostawało mu tylko otworzyć drzwi, poza którymi znalazłby towarzyszków i bohaterską śmierć— dopuścił się bezsensownego i niezrozumiałego czynu, który go zgubił.

I niepodobna powiedzieć, czy to co uczynił było wynikiem szaleństwa, jakie częstokroć opanowuje nagle najsilniejsze i najspokojniejsze umysły — czy też istotnie — przy dźwiękach pijanych skrzypiec, w murach domu publicznego, pod wpływem dzikiego uroku podmalowanych oczów prostytutki — udało mu się odkryć jakąś ostatnią, straszliwą prawdę życia, swoją własną prawdę, której nie mogli i nie mogą zrozumieć inni ludzie. Bez względu jednak czem był ten nowy światopogląd: wynikiem szaleństwa czy też dojrzałości, wynikiem fałszu czy też prawdy

uznał go za fakt dokonany — a uznał go z tą bezwzględnością, która zaostrzyła całe jego życie, czyniąc je podobnem do jakiejś ognistej linji.

Powoli, bardzo powoli przesunął rękę wzdłuż głowy i, pozostawiając za sobą drzwi przymknięte, cofnął się w głąb pokoju i usiadł na łóżku, zajmując dawne swe miejsce.

Kobieta, nie spodziewając się tego zupełnie, spojrzała nań zdumionym wzrokiem.

— Co ci się stało? Czyś czego nie zapomniał?

— Nie.

— Więc? Dlaczego nie odchodzisz?

Głosem spokojnym — podobnym w tej chwili do kamienia, na którym życie ciężką ręką wyżłobiło swą nową i straszliwą prawdę — odezwał się:

— Ja nie chcę być dobrym.

Patrzyła nań ze zdumieniem, jakby nie mogąc uwierzyć, że oto spełniło się to, na co tak długo oczekiwała z utęsknieniem.

Uśmiechnął się zlekka i, patrząc na nią z wysokości nowej straszliwej wyżyny, położył rękę na jej głowie, mówiąc:

— Ja nie chcę być dobrym.

Kobieta pełna radości poczęła się szybko krzątać. Poczęła rozbierać go jak dziecko, przyklekła aby mu rozsznurować kamasze, głaskała go po głowie, po kolanach a serce jej przepelniał taki nadmiar szczęścia, że nawet śmiać się

nie mogła. Spojrzała na twarz jego i nagle ogarnęła ją trwoga.

— Jakiś ty blady, napij się czego prędezej. Ty nie umiesz pić, Piotrusiu?

— Mnie jest na imię Aleksy.

— Wszystko jedno. Jeżeli chcesz, naleję ci sama. Tylko uważaj, abyś sobie ust nie poparzył. Jak ktoś nieprzyzwyczajony, to mu trudno pić ze szklanki.

Z rozwartemi usty przyglądała się uważnie, jak pił wolno, małemi haustami. W pewnej chwili zakasłał.

— E, to głupstwo. Będziesz doskonale pił, to już odrazu widać. Chwacki chłopak. Okropnie jestem zadowolona.

Poskoczyła ku niemu i poczęła okrywać go tak szybkimi pocałunkami, iż nie mógł nadażyć z odpowiedzią. Rzecz zabawna: cudzą, a tak całuje. Ścisnął ją mocno rękami, pozbawiając nagle swobody ruchu; w ten sposób wytrzymał ją przez dłuższą chwilę, jakby pragnął wypróbować siłę bezruchu, siłę kobiety, wreszcie własną swą siłę. Kobieta oniemiała w tym uścisku pokorna i szczęśliwa.

— Dobrze jest—westchnął, wzdychając niepostrzeżenie.

I znów poruszyła się żywo kobieta, pełna radości, jakby płonęła w jakimś ogniu szczęścia. Ruchem swym zapełniła cały pokój, tak iż zdało się, że w pokoju tym krząta się, mówi i całuje niejedna lecz kilka kobiet. Przepijając

doń, połała go koniakiem. Nagle, jakby przypomniała coś sobie, klasnęła rękami.

— A rewolwer twój! Zupelnieśmy o nim zapomnieli. Daj mi go, daj coprędzej, trzeba go odnieść do kantoru.

— Po co?

— Niech go tam, ja się go boję, a nuż wystrzeli nagle?

Uśmiechnął się i przywtórzył jej.

— A nuż wystrzeli? Tak, to prawda. A nuż wystrzeli.

Wyjął z kieszeni rewolwer i powoli, jak gdyby wążąc ciężar swej spokojnej, posłusznej mu broni, oddał go dziewczynie. Po chwili wydobyl i naboje.

— Bierz, zanieś.

Dziewczyna odeszła. Pozostał sam, bez rewolweru, który w ciągu tylu lat towarzyszył mu zawsze; przy nawpólotwartych drzwiach, poza którymi rozlegały się jakieś obce, nieznanne mu głosy i cichy brzęk ostróg; była to chwila, w której poczuł cały bezmierny ciężar brzemienia, jakim obciążył swe ramiona. Powolnym krokiem przeszedł się wzdłuż pokoju i, patrząc w stronę uchylonych drzwi, rzekł:

— A więc?

Stał na miejscu jak wryty, z rękami założonemi na piersiach, ze wzrokiem utkwionym w stronę drzwi, po za którymi znajdowała się reszta ludzi. Króciutkie słowo, jakie wypowiedział przed chwilą, zawierało w sobie obfitą treść: dźwięczało w niem ostatnie pożegnanie,

butne wyzwanie do walki, nieodwołalna złośliwa stanowczość zmagania się ze wszystkimi, nawet z najbliższymi sobie ludźmi i nawet, zresztą bardzo niewielki, cichy żal.

W tej pozycji zastała go powracająca Luba, która już od progu zmęczona szybkim biegiem mówiła doń pełna wzruszenia.

— Kochaneczku ty mój, nie rozgniewasz się na mnie. Nie gniewaj się; zaprosiłam tu moje przyjaciółki. Niektóre tylko? Pozwalasz mi? Uważasz, tak bardzo pragnę im ciebie pokazać; ciebie przez los mi przeznaczonego, ciebie mego ukochanego. Nie gniewasz się? One są bardzo dobre, a siedzą same, bo ich nikt nie wybrał. Oficerowie już się porozchodzili po pokojach. Jeden oficerek oglądał twój rewolwer i chwalił go: bardzo dobry, powiedział. Pozwalasz? Pozwalasz, kochaneczku?—mówiła spieszenie, pokrywając usta jego szybkimi i mocnymi pocałunkami.

Tymczasem zaproszone przyjaciółki wchodziły już do pokoju, szepcząc między sobą, krygując usta i zajmując szybko miejsca jedna obok drugiej. Było ich pięć czy sześć—najbrzydszych lub najstarszych z pośród lokatorek tego domu; wszystkie one miały twarze malowane, oczy podkreślone i kokieteryjne grzywki, spadające na czoła. Niektóre udawały, że się wstydzą i chichotały z cicha, inne spokojnie i z prostotą oczekiwały na koniak i spoglądały nań poważnie, przy wejściu zaś witały się, wyciągając ku niemu ręce. Prawdopodobnie wybierały się już

spać, gdyż miały na sobie lekkie kaftaniczki; jedna z nich nawet, nadzwyczajnie otyła, przyszła w halce i bez kaftanika; jej obnażone ręce były niezwykle grube, a piersi nalane sadłem wyglądały jak spuchnięte. Dwie z nich, a mianowicie ta otyła i druga, stara już o złośliwym wyrazie ptasiej twarzy, umalowanej bielidłem, niby mur brudnym tynkiem — były najzupełniej pijane. Pozostałe były już dobrze podchmielone. I wszystko to pół-nagie, chichoczące i wyuzdane otoczyło go nagle a pokój zapelniła gryząca woń ciała, porteru i wilgotnych mydeł pachnących.

Po chwili spocony lokaj w liberji wniósł na tacy porter i koniaki: zaledwie ukazał się na progu, wnet wszystkie zebrane powitały go okrzykiem:

— Marcelek! Kochany Marcelek! Marcelek!

Widocznie tego rodzaju powitanie należało do zwyczajów tego domu, ponieważ nawet i ta, która była najbardziej pijana, mruzczała pod nosem:

— Marcelek!

Cały ten obraz był istotnie niezwykły. Dziewczyny piły, trącały się szklankami i rozprawiały głośno; wszystkie mówiły równocześnie i każda o swoich sprawach. Ta, która miała twarz złośliwą i o ptasim wyrazie, opowiadała o jakimś gościu; brał on ją na czas i miała z nim jakąś awanturę. Często w rozmowie tej rozlegały się uliczne wymysły; wygłaszano je nie obojętnie, jak to czynią mężczyźni, lecz

z jakąś szczególną i wyzywającą akcentacją; wszystko określano właściwem mianem.

Na niego nie zwracano początkowo uwagi, on zaś w milczeniu przyglądał się im ciekawie. Obok niego siedziała na łóżku uszczęśliwiona Luba, obejmując go pieśczośliwie za szyję; piła niewiele, natomiast wciąż dolewała mu koniaku. Od czasu do czasu, pochylając się nad nim pieśczośliwie, szeptała mu do ucha:

— Kochaneczku mój!

On pił wiele, nie był jednak pijany; w głębi jego istoty odbywał się jakiś przewrót, dokonujący się częstokroć pod tajemniczym wpływem mocnego alkoholu. Rzekłbyś — dusza jego pracowała z niezmiernym wysiłkiem, burząc cały gmach dawnych wierzeń. Rzekłbyś — że wszystko, cokolwiek człowiek ten poznał i ukochał w swem życiu — rozmowy z towarzyszami, książki, niebezpieczna i podniecająca praca — płonęło cicho, niszczało doszczętnie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Tylko on sam nie uległ zniszczeniu, lecz w jakiś dziwny sposób zahartowywał się i męźniał. Jakgdyby każda wypita dawka zbliżała go do jakiegoś pierwotnego stanu — do dziada, pradziada, do wszystkich jego żywiołowych pierwotnych buntowników, dla których bunt był religją, a religja buntem. Jak pokost pod dotknięciem gorącej wody, tak cała nabyta przezeń mądrość książkowa blakła i znikła — powstawało w nim coś własnego, dzikiego i potężnego, jak głos bijący z najtajniejszych głębin czarnej ziemi. Ostatnia ta po-

sępna mądrość jego tchnęła bezkresem przestrzeni, nieskończonością czarnych borów, bezmiarem pól; widniała w niej krwawa luna pożarów i dźwięczał rozpaczliwy krzyk dzwonów; i rozbrzmiewała ona dźwiękiem żelaznych kajdan, modlitwą potępieńczą i satanicznym śmiechem tyśiąca tytanicznych gardzieli; ponad odkrytą głową ludzką unosiła się posępna kopuła nieba.

Siedział nieruchomy i blady taki swój i tak zbliżony do wszystkich tych nieszczęśliwych, paplących naokół niego kobiet. Osamotniona i wypalona dusza jego była obrazem ruiny, a panujący w niej mrok rozjaśniała jedynie tylko rozogniona wola, płonąca jaskrawo, niby rozpalona do białości stal. Wola ta, aczkolwiek celu swego jeszcze nieświadoma, wyginała się chciwie do czynu. W poczuciu bezgranicznej potęgi, zdolnej wszystko stworzyć i wszystko zburzyć, ciało jego kamieniało powoli. Uderzył nagle pięścią w stół.

— Hej, Lubka! Pij!

I wnet uszczęśliwiona dziewczyna z promiennym uśmiechem na ustach napełniła kieliszki. On powstał z miejsca i, wznosząc kielich swój do góry, zawołał:

— Piję zdrowie naszej braci!

— Czy pijesz za zdrowie tamtych?— spytała szeptem Luba.

— Nie, za tych tutaj! Za naszą brać! Za zdrowie nikczemników, podłych, tchórzów, za zdrowie tych, których życie złamało! Za tych, co umierają na syfilis...

Dziewczyny zaśmiały się, otyła zaś odezwała się z wyrzutem:

— Eh, to już za dużo, kochanku.

— Milcz — powiedziała Luba, blednąc nagle—to mój wybrany.

On ciągnął dalej.

...Zdrowie wszystkich ślepych od urodzenia. My wszyscy, którzy widzimy — wołał, uderzając pięścią w stół,—powinniśmy wykluć sobie oczy, ponieważ wstydem jest, aby widzący patrzyli na ślepych od urodzenia. Jeżeli latarki nasze nie mogą rozjaśnić mroków, zgaśmy te ognie i pójdźmy wszyscy w mrok. Jeżeli raj nie jest dla wszystkich, jakże więc ja mam z niego korzystać. To już nie jest raj, o dziewczyny, lecz najzwyklejsze świństwo. Pijmy dziewczyny, aby wszystkie ognie pogasły. Pij, ciemności.

Chwiejąc się zlekka na nogach, wychylił kielich. Mówiąc plątał się cokolwiek, lecz każde słowo swe wygłaszał dobitnie z pewnemi przestankami. Żadna z obecnych nie zrozumiała treści fantastycznej tej przemowy — natomiast on sam zdołał się podobać wszystkim; podobała się im bladeść jego i szczególna jakaś gniewność.

Niespodzianie zabrała głos Luba; mówiła szybko, wyciągając ku niemu rękę:

— On jest wybranym moim. On jest wybranym moim. On pozostanie tu ze mną. On był dotąd uczciwym i, chociaż ma kolegów, odtąd pozostanie ze mną.

— Zgódź się do nas na miejsce Marcelka— przemówiła apatycznie otyła.

— Milcz, ty Mańka, bo ci pysk stłukę! Ze mną pozostanie. On był uczciwy.

— Myśmy wszystkie były uczciwe, zauważyła złośliwie najstarsza i najbrzydsza.

I wnet reszta podchwyciła jej słowa.

— Ja do czwartego roku życia¹ byłam uczciwą... Ja i teraz także jestem uczciwa, jak Boga kocham!

— Milczcie wy, nikczemnice — poczęła wołać rozpaczliwie Luba. — Wam uczciwość waszą zabrali, a on oto sam mi ją oddał. Ot, zwyczajnie, wziął i oddał: bierz moją uczciwość. Nie chcę uczeiwości! Wy tu wszystkie już..., a on niewiniątkiem jest jeszcze...

Zaszlochała i w jednej chwili wszystkie obecne wybuchły śmiechem. Był to niepohamowany i szalony pijacki chichot, jaki może rozbrzmiewać tylko w ciasnym pokoiku, gdzie powietrze jest już tak przesycone dźwiękami, iż nie wchłania w siebie nowych, lecz odbija je od siebie z przerażającym łoskotem. W śmiechu tym, który wyciskał łzy z oczów, dziewczyny z jękiem pokładały się na siebie; otyła, zsuwając się bezwładnie z krzesła, gdała coś cienkim głosem.

On patrzył na to wszystko, aż wreszcie sam wybuchnął śmiechem. Rzekłbyś, że zgromadził się tu cały świat sataniczny, aby rozszaleć śmiechem nad grobem drobnej niewinnej uczciwości—rzekłbyś, że chichocze nawet i ta umarła uczciwość, którą tu grzebano.

Wyjątek stanowiła jedna tylko Luba. Drząc

ze wzruszenia na całym ciele, załamywała rozpaczliwie ręce, krzyczała coś, aż wreszcie z zaciśniętymi groźnie pięściami rzuciła się ku otyłej i poczęła ją bić, podczas gdy ta broniła się bezsilnie swymi nagiemi i krągłemi, jak kłody, rękami.

— Dostyc już, dostyc — począł wreszcie wołać — lecz one nie słyszały słów jego. Wreszcie po upływie pewnej chwili uciszyły się.

— Dostyc tego! — zawołał raz jeszcze. — Czekaście. Jeszcze wam coś pokażę.

— Zostaw ich w spokoju — odezwała się Luba, ocierając łzy. — Trzeba je stąd przepędzić!

Zwrócił ku niej głowę, ukazując twarz wykrzywioną w skurczach śmiechu.

— Co, zlekłaś się? Uczciwości ci się zachciało? Głupia. Ciągłe ci się teraz uczciwości zachciewa! Daj mi spokój!

Nie zwracając już na nią uwagi, wstał ze swego miejsca i, zwrócony w stronę dziewczyn, ze wzniesionemi ku górze rękoma począł mówić:

— Słuchajcie mnie! Czekaście! Pokażę wam coś jeszcze. Spójrzcie tu na moje ręce.

Rozswawolone dziewczyny przyglądały się ciekawie rękoma jego, z ustami szeroko rozwartemi, jak to czynią dzieci.

— Patrzcie — wołał, poruszając rękoma — oto trzymam w dłoniach moje życie. Czy widzicie?

— Widzimy! No i cóż dalej?!

— Życie moje było pięknem. Życie moje było pięknem i czystem. Życie moje, trzeba wam wiedzieć, było tak pięknem, jak waza z porce-

lany. I oto patrzcie: rzucam je na ziemię!—opuścił ręce ku ziemi, co czyniło wrażenie, jakby istotnie coś z jękiem upadło na podłogę; i wnet obecne utkwily oczy swe w podłodze, jakby rzeczywiście na podłodze tej leżały skorupy czegoś delikatnego i kruchego — piękne życie ludzkie.

— Depczcież je teraz dziewczyny! Depczcie tak, by ani kawałeczka nawet nie zostało!

Uderzył nogą.

Za przykładem jego pozrywały się z miejsc i, jak dzieci, rozradowane nową zabawą, poczęły z krzykiem i piskiem deptać to miejsce, na którym leżała niewidzialna porcelanowa waza — piękne życie ludzkie. Stopniowo ogarniał je szal. Zamilkł śmiech i pisk. W pokoju rozbrzmiewał jedynie ciężki oddech, sapanie piersi i tupotanie nóg — wściekle, bezlitosne, nieustanne.

Luba spoglądała na niego przez ramię rozwścieczonemi oczami, jak obrażona królowa; nagle, jakgdyby zrozumiała wszystko, jak szalona rzuciła się z radosnym jękiem między tłoczące się kobiety, depcząc szybko stopami niewidzialne miejsce. I gdyby nie miny poważne, malujące się na ich pijanych twarzach, gdyby nie dziki wyraz ich przyblakłych oczów i szpetne, złośliwie wykrzywione usta, możnaby przypuścić, że jest to jakiś nowy szczególny taniec bez muzyki i bez rytmu.

* * *

W ciemnym pokoju rozbrzmiewały dwa głosy. Delikatny i wysubtelniony głos Luby,

w którym dźwięczała lekka nuta szczególnego załęknienia, jakiego zazwyczaj doznają kobiety w ciemnościach—i głos jego: mocny, równy, daleki. Akcentował słowa cokolwiek nazbyt wyraziście, co było następstwem odurzenia, które jeszcze nie minęło zupełnie.

— Czy ty masz oczy otwarte?— pytała kobieta.

— Otwarte.

— Czy może myślisz o czym?

— Myślę.

Po chwili milczenia zabrzmiał znowu skupiony głos kobiety:

— Opowiedz mi coś jeszcze o swych towarzyszach. Czy dobrze?

— Dla czegożby nie? Byli oni.

Mówił „byli“ w ten sposób, jak żywi mówią o umarłych, lub jak umarły mówiłby o żywych. Opowiadał spokojnie, niemal obojętnie, a w tonie jego miarowego głosu rozbrzmiewały dźwięki dzwonów pogrzebowych; mówił, jak starzec, opowiadający dzieciom baśń bohaterską z bardzo odległych czasów. W ciemnościach, które rozszerzyły nieskończenie granice pokoju, oczarowanym oczom Luby ukazywała się szczupła gromadka ludzi, ludzi dziwnie młodych, pozbawionych ojca i matki, dla których zarówno świat, przeciw któremu walczą, jak i ten świat, w którego obronie walczą, jest jednakowo beznadziejnie wrogim. Wypieścili oni w marzeniach swych daleką przyszłość, a serca ich obcuja z ludźmi-braćmi, którzy kiedyś dopiero przyjdą

na świat; przez życie przechodzą jako blade, skrwawione cienie—przechodzą jak widma, których obrazem straszą jedni drugich. Życie ich jest szalenie krótkiem: każdego z nich oczekuje szubienica, katorga lub obłąd; i nikt nie spodziewa się od życia niczego, prócz katorgi, szubienicy, obłądu. Wśród ludzi tych są kobiety...

Luba, oparła się z westchnieniem na łokciach, aby lepiej słyszeć:

— Kobiety, co ty mówisz najdroższy!

— ...Młode, delikatne dziewczyny, dzieci niemal—idą one śmiało i mężnie śladami mężczyzn i giną...

— Gina! O, Boże mój!—zaszlochala i przytuliła się mocniej do ramienia mężczyzny.

— Co, tak cię to rozczula?

— Nic, nic kochaneczku, ja tylko tak. Opowiadaj, opowiadaj dalej!

Opowiadał dalej. I rzecz szczególna: lód przetwarzał się w płomień; w pogrzebowych dźwiękach jego pożegnalnej mowy dziewczyna z otwartymi i płonącymi oczyma usłyszała nagle zapowiedź nowego, radosnego i potężnego życia. W oczach jej ukazywały się co chwila lzy, które jednak obsychały natychmiast, jakby w płomieniach; poruszona do żywego wchłaniała w siebie chciwie jego mowę, a każde ważne słowo, jak młot dotykający gorącego żelaza, wykładało w niej nową, dźwięczną duszę. Równomiernie opadał ciężar młota, a dusza jej stawała się coraz dźwięczniejszą; i nagle w smrodliwym

pokoju rozległ się nowy, nieznamy głos — głos człowieka:

— Kochaneczku! Przecież ja także jestem kobietą!

— Więc czegoś chcesz?

— Przecież ja także mogę pójść do nich!

On milczał. I nagle ten milczący człowiek, który był towarzyszem tych ludzi i żył wraz z nimi, wydał się jej tak ważną i wybitną postacią, że na myśl o tem, iż leży tuż przy nim i obejmuje go rękoma doznała pewnego rodzaju zawstydzienia. Odsunęła się trochę i rękę położyła na ciele jego lekko, tak aby zaledwie odczuwał jej dotknięcie. Pełne poświęcenia życie tych ludzi wydało jej się tak dalece pięknem, iż zapomniała o nienawiści dobrych, o łzach i przekleństwach, o długich latach samotnego sieroctwa, spędzanych w domu publicznym; na samą myśl, że ludzie ci nie zechcą jej może przyjmując do siebie, twarz jej zarumieniała się pod wpływem wzruszenia, a w oczach omal że nie ukazały się łzy.

— A czy oni mnie przyjmą do siebie, kochaneczku? Boże mój, co się ze mną dzieje? Jak myślisz, jak ty myślisz, czy oni mnie przyjmą, czy nie pogardzą mną? Czy nie powiedzą mi: ty nie możesz być między nami, boś zbrukana, boś kupczyła sobą? No, powiedz mi.

Po chwili milczenia usłyszała odpowiedź, wieszczącą radosną nowinę:

— Przyjmą. Dlaczegożby nie.

— Kochaneczku ty mój. A jacyż oni są?

-- Dobrzy—odpowiedział głos męski, jakby po słowie tym chciał postawić małą, okrągłą kropkę.

Dziewczyna rozradowana niezmiernie powtórzyła ze wzruszającym zaufaniem:

— Tak. Dobrzy.

Twarz kobiety rozjaśnił promień radości, jakgdyby nagle uśmiechnęła się do niej otaczająca ciemność, jakgdyby poczęły mrugać do niej, niby małe błękitne punkciki, jakieś gwiazdki. Objawiła się jej nowa prawda, lecz była ona zwiastunem radości a nie trwogi.

— Więc pójdźmy do nich — mówiła błagalnie.—Zaprowadź mnie, a czy nie będziesz się wstydził, żeś przyprowadził ze sobą taką, jak ja jestem? Przecież oni rozumieją, jakim sposobem tu się znalazłeś. Bo przecież coś ma zrobić człowiek, kiedy go tropią. Nie tylko tu, ale nawet do jamy z pomyjami by uciekł. A ja... a ja... ja już będę się starała. Dlaczego nic nie mówisz?

— Nastąpiła pauza posępnego milczenia, w którym słyhać było bicie dwóch serc—jedno z nich biło w trwożnym i przyśpieszonym tętnie, drugie uderzało mocno i dziwnie powolnie.

— Ty może wstydzić się będziesz mojej osoby.

I znów pokój zaległa cisza, poczem rozległa się odpowiedź mężczyzny, wypowiedziana tonem zimnym, ścinającym krew w żyłach.

— Ja już nie wrócę do nich. Ja nie chcę być dobrym.

Milczenie.

— To są panowie — przemówił po chwili.

— Kto taki?

— Ci dawni.

I znów nastąpiło milczenie, jakgdyby gdzieś w górze wirował spadający ku ziemi ptak; nie mogąc w żaden sposób dosięgnąć ziemi, aby, rozbiwszy się o nią, legnąć nareszcie w spokoju, miękkimi swymi skrzydłami bezdźwięcznie raz po raz uderza o powietrze. Luba, milcząco i starając się go nie dotknąć, ostrożnie przesunęła się obok niego i poczęła krzątać się koło łóżka.

— Co ty tam robisz?

— Nie chcę tak leżeć. Ubiorę się.

Widocznie ubrała się i usiadła, gdyż krzesło zaskrzypiało cicho. I było tak cicho, jakby w pokoju tym nikt się nie znajdował. Cisza ta panowała przez dłuższą chwilę, póki wreszcie nie przerwał jej spokojny i poważny głos męski :

— Słuchaj, Luba, tam na stole znajduje się pozostały jeszcze koniak. Wypij kieliszek i połóż się tu przy mnie.

V.

Świtało już, kiedy do domu publicznego, w którym podówczas panowała cisza, jak w każdym innym domu, zjawiła się policja. Po długim wahaniu się, obawiając się z jednej strony

skandalu, z drugiej zaś odpowiedzialności— zdecydowano się wreszcie wysłać do cyrkułu Marcelka ze szczegółowym raportem o dziwnym gościu, dołączono nawet jego rewolwer i zapasowe naboje.

W cyrkułe domyślono się odrazu kim jest ów gość. Od trzech dni marzono o pochwycceniu go, wyczuwając wprost obecność jego w pobliżu; ostatnie ślady jego zacierały się właśnie w -im zaułku. Przez chwilę istniał nawet zamiar dokonania rewizji we wszystkich, znajdujących się w cyrkułe domach publicznych, ktoś jednak wskazał nową, błędną drogę i w tym kierunku zwrócono się z poszukiwaniami, zapominając o domach publicznych.

Rozległ się dzwonek telefoniczny, a w pół godziny później przez puste ulice sunął wielki tłum policjantów i łapaczów, gniotąc pod stopami swemi szron paździenikowy. Przodem kroczył z powagą wygięty naprzód komisarz, wysoki, podstarzały już mężczyzna, otulony jak w worek w nazbyt szeroki szynel urzędowy. Ziewał, osłaniając siwiejącemi wąsami zaczerwieniony nos, i rozmyślał strapiony, że właściwie należało poczekać na przybycie żołnierzy, ponieważ niema sensu iść po takiego człowieka z samymi tylko zaspanymi i niezgrabnymi policjantami, nie umiejącymi strzelać. Kilkakrotnie nazwał się w myśli „ofiara obowiązku“, przyczem za każdym razem ziewał przeciągle.

Był to stary, zawsze cokolwiek podchmielony komisarz, zbałamucony istnieniem w jego

cyrkule domów publicznych, które opłacały mu się za swą egzystencję wielkimi pieniędzmi; bynajmniej też nie pragnął umierać. Kiedy zbudzono go niedawno, przez dłuższą chwilę przekładał z dłoni w dłoń rewolwer i chociaż czas naglił, kazał przedewszystkiem czyścić mundur, jakgdyby wybierał się na przegląd. Ubiegłego wieczora w cyrkule toczono rozmowę o nim, o tym rewolucjonście, o którego pochwyceniu w ostatnich dniach marzyła cała policja; stary komisarz z cynizmem pijackim nazywał rewolucjonistę bohaterem, siebie zaś starą policyjną ścierką. Twierdzenie to wywołało śmiech jego pomocników, a wówczas komisarz starał się z całą powagą przekonać obecnych, że tacy bohaterowie potrzebni są choćby po to, aby było kogo wieszać.

— Wieszasz go— i on ma w tem przyjemność i tobie jest przyjemnie. On, ponieważ idzie wprost do królestwa niebieskiego, ja zaś ponieważ widzę, że są jeszcze na tym świecie ludzie odważni. Czegóż zęby szczerzycie—prawda!...

Co prawda to i on sam śmiał się z tego również, ponieważ dawno już zapomniał, co zazwyczaj jest w mowie jego prawdą, co zaś kłamstwem, które jak dym tytoniowy przysłaniało całe jego pijackie i chaotyczne życie. Dziś jednak pod wpływem chłodu październikowego poranku uświadomił sobie wyraźnie, że to co mówił wczoraj było kłamstwem i że „tamten“ człowiek jest nikczemnikiem.

— Bohater! Także! O Boże mój — krzepił się komisarz — jeżeli ten nizezemnik poruszy się, zabiję go, jak psa. O, Boże mój.

I znów myślał o tem dlaczego, chociaż jest już i starym i ma podagrę, tak bardzo pragnie żyć. I niespodzianie odgadł przyczynę: dlatego, że na ulicach jest szron. Odwrócił się poza siebie i gniewnym głosem ryknął:

— Szeregiem! Idą jak barany...

Dom otoczyli ze wszystkich stron, jakgdyby chcieli zdobyć nie jednego śpiącego człowieka, znajdującego się w nim, lecz całą rotę nieprzyjaciół. Cichaczem na palcach szli przez ciemny korytarz, zmierzając wprost ku tym straszonym drzwiom. Rozległo się łomotanie do drzwi, krzyk, tchórzliwe pogróżki zastrzelenia przez drzwi; kiedy wreszcie, omal nie przewróciwszy wpólnagiej Luby, wtargnęli do pokoju, zapelniając go mnóstwem butów, szyneli i broni, ujrzeni, że on siedział na łóżku w jednej koszuli tylko, spuściwszy ku ziemi swe nagie, włochate nogi; siedział i milczał. Nie było jednak przy nim ani bomby, ani wogóle nic straszego. Był to jedynie zwyczajny pokój prostytutki, wyglądający w świetle poranku brudno i wstrętnie: zmięte szerokie łożo, porozrzucane ubranie, poplamiony i zalany porterem stół; na łożu tem siedział w milczeniu mężczyzna ogolony, o wystających kościach policzkowych, z twarzą zaspaną i nabrzmią, z włochatemi, opuszczonemi nogami.

— Ręce do góry! — krzyknął komisarz, zaskakując mocno rewolwer w spoczonej dłoni.

Ale on ręk nie podniósł i w dalszym ciągu milczał.

— Zrewidować! — krzyknął komisarz.

— Przecież nic tu niema! Przecież ja sama odniosłam rewolwer! O mój Boże — wołała Luba, szcękając ze strachu zębami. Była ona również w pomiętej koszuli jedynie; ten wpółnagi mężczyzna i napółnaga kobieta w zestawieniu z ubranymi w szynele ludźmi wywoływali uczucie wstydu, wstrętu i pogardliwej litości. Przetrzęsnęli jego ubranie, przeszukali łóżko, zajrzeli do komody, do wszystkich kątów, lecz nic nie znaleźli.

— Przecież ja odniosłam rewolwer — mówiła bezmyślnie Luba.

— Milczeć, Lubka—zawołał komisarz. Znał on dziewczynę, gdyż dwa czy trzy razy spędził z nią noc i teraz wierzył jej słowom; przebieg aresztowania jednak był tak szczęśliwy, iż pragnął rozradowany krzyczeć, wydawać rozkazy, okazywać swą władzę.

— Jak nazwisko?

— Nie powiem. I wogóle na pytania odpowiadać nie będę.

— Rozumie się, rozumie się — ironicznie odpowiedział komisarz, lecz w tejże chwili stropił się nieco. Spojrzał na jego obnażone, włochate nogi, na dziewczynę, drżącą w kącie, i nagle ogarnęła go wątpliwość.

— Czy to tylko ten—odezwał się do szpiega, którego odciągnął na stronę. — Coś mi się

wydaje niebardzo? Szpieg wpatrzył się w twarz jego uparcie i skinął głową potwierdzająco:

— Ten sam, tylko brodę zgolił. Po kościach policzkowych można go poznać.

— Tak, to prawda. Kości policzkowe, jak u rozbójnika.

— Niech pan i na oczy spojrzysz. Ja go po oczach poznam wśród tysięcy.

— Oczy, a tak. Pokaż no fotografię.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się matowej, bez retuszu fotografii; wyobrażała ona podobiznę bardzo pięknego, szczególnie jakos czystego młodego człowieka z długą i gęstą brodą. Oczy jego miały wyraz podobny, nie było to jednak spojrzenie posępne, jak w obecnej chwili, lecz jasne i pogodne. Kości policzkowe nie uwidoczniały się na fotografii.

— Widzisz: niema tu takich kości policzkowych.

— Przecież je broda osłania. Jeżeli jednak pomacać okiem...

— Tak, to prawda, tylko... A może on się zapija?

Wysoki, chudy, o twarzy żółtej szpieg, sam zdecydowany pijak, uśmiechnął się protekcjonalnie:

— Oni się nie zapijają.

— Ja sam wiem, że nie. A jednak...

Komisarz zbliżył się do łóżka.

— Słuchaj pan, czy to pan brałeś udział w zabójstwie?...—tu komisarz wygłosił z uszanowaniem bardzo znane nazwisko.

Ale on milczał i, uśmiechając się, poruszał lekko włochatą nogą, zakończoną wykrzywionymi wskutek ciasnego obuwia palcami.

— Pytają pana.

— Niech mu pan da spokój. Przecież on odpowiadać nie będzie. Trzeba zaczekać na przybycie rotmistrza i prokuratora. Ci już skłonią go do odpowiedzi!

Komisarz roześmiał się, lecz w duszy jego coraz to rósł niesmak. Kiedy wchodzono pod łóżko, rozlano coś i obecnie w pokoiku unosiła się brzydka woń. „Jakież to obrzydliwe“, pomyślał komisarz, aczkolwiek co się tyczy czystości nie był bynajmniej wymagającym człowiekiem. Z obrzydzeniem spojrzął na obnażoną, poruszającą się wciąż nogę. — I jeszcze nogą porusza!

Obrócił się poza siebie: za nim stał młody policjant, blondyn, o rzęsach zupełnie białych i, obejmując obu rękami broń, jak stróż nocny, uśmiechał się do Luby.

— Hej, Lubka! — zawołał komisarz — a dla czegoś to ty psia córko nie doniosła od razu, kto gości u ciebie?

— A przecież ja...

Komisarz dwa razy uderzył ją zręcznie w policzek z jednej i drugiej strony.

— A masz! A masz! Ja wam tu pokażę.

On zmarszczył brwi i przestał nogą poruszać.

— Nie podoba ci się to, młody człowieku — mówił komisarz ze wzrastającą pogardą. — Ha,

cóż robić! Pan całowałeś tę mordę, a my ją tymczasem...

Zaśmiał się i równocześnie roześmieli się stójkowi. Co jednak było najdziwniejsze: roześmiała się również i pobita Luba. Spoglądała na starego komisarza z życzliwym uśmiechem, jakby ciesząc się z jego żartów i dobrego humoru. Od chwili gdy weszła policja, nie spojrziała nań ani razu, zdradzając go szczerze i naiwnie; on widział to i, milcząc, uśmiechał się w jakiś dziwny sposób, jakby uśmiechał się w lesie szary, okryty pleśnią, wrosły już w ziemię kamień. W drzwiach tymczasem tłoczyły się nawpół ubrane kobiety; wśród nich znajdowały się i te, które wczoraj siedziały z nim w tym pokoju. Spoglądały nań jednak obojętnie, z jakąś tępą ciekawością, jakgdyby spotkały go po raz pierwszy w życiu; widocznem było, że nie pamiętają nic z tego co tu wczoraj mówiono. Wkrótce przepędzono je.

Tymczasem rozjaśniło się zupełnie i pokój wydawał się jeszcze wstrętniejszym. Ukazali się dwaj niewyspani oficerowie o twarzach zmiętych, lecz już ubrani i wymyjni.

— Nie można, panowie, jak Boga kocham nie można—mówił komisarz, spoglądając na nich ze złością. Oficerowie jednak zbliżyli się, przyglądając mu się ciekawie od stóp do głowy i przyglądając się równocześnie Lubie. Nie krępując się, czynili uwagi.

— Dobry sobie! — powiedział młody ofice-

